NR. 52 (76)
ROK II

# TYDZIEŃ

ILUSTROWANE PISMO TYGODNIOWE

25-31.XII.1947
CENA 25 ZŁ




## NUMER GWIAZDKOWY

# Z SZEROKIEGO ŚWIATA



Kraina baśni wigilijnej w lesie.



...i w oczach malców.



...w uśmiechu małej Basi.



Prezydent Francji Auriol odwiedził Sorbonę. Towarzyszą mu: minister oświaty Naegelen (po lewej) i rektor Sarraili (po prawej). Przodem idą pedele z insygniami uczelni.



Delegat Polski do Rady Bezpieczeństwa, ambasador prof. Oskar Lange rozmawia w kuluarach, podczas ostatniego Walnego Zgromadzenia ONZ z redaktorem New Republic Henry H. Wallacem, byłym wiceprezydentem Stanów Zjednoczonych.



Nowe znaczki radzieckie wydane z okazji 800-lecia Moskwy (patrz Kącik Filatelistyczny str. 21).





Król Szwedzki Gustaw V składa podpis na wieży działowej nowego krążownika „Trzy Korony", który widzimy na zdjęciu po prawej stronie.

# OPOWIEŚĆ WIGILIJNA



iedy zapadnie pierwszy błękitny zmierzch wigilijny, wyda się nam, jak byśmy weszli do świata baśni. Wiele straciliśmy przez lata wojennej katastrofy. To wszystko co stanowiło materialną oprawę naszego życia w dużej części zostało zniszczone. Żyjemy obecnie jakgdyby w innym świecie, gdzie przestały istnieć powszednie przedmioty, stanowiące przedtym nasze otoczenie, zdawałoby się — niezniszczalne i nieprzemijające. Domy i miasta całe przestały istnieć w swojej dawnej postaci. Wiele tysięcy rodzin zmieniło swoje miejsce zamieszkania, przenosząc się w całkiem różne od poprzednich warunki bytu.



rzeżyliśmy największą katastrofę w naszych dziejach, ale nie pierwszą. Ziemie nasze niejednokrotnie już były przedmiotem najazdów, zniszczeń i pożogi. Jeden z „kulturträgerów" hitlerowskich, powołanych do tworzenia „nowego ładu" w naszym kraju uzasadniał „naukowo", iż Polacy są narodem bez przywiązania do swej ziemi, kultury i tradycji, ponieważ w ich kraju nie można znaleźć zabytków przeszłości. Przypomnijmy sobie, ile właśnie tych zabytków, tych naszych pamiątek materialnych dawnej kultury wywieźli i zniszczyli germańscy najeźdźcy. Poprzednie pożogi również zniszczyły wiele. Warszawa, stolica nasza nie posiada dziś w ogóle dzielnicy zabytkowej, która w całości padła w gruzy. Inne jej budowle zabytkowe z trudem rekonstruujemy. Nie my więc, Polacy ponosimy winę, iż niewiele tylko udało się nam przechować pamiątek świadczących o naszej kulturze narodowej. Tym więcej może i silniej kochamy to, czego ani ogień, ani rabunek najeźdźcy nie zdołał nam zabrać i zniszczyć. Kochamy naszą tradycję narodową, i uczucie związane z dniami, posiadającymi w naszym obyczaju szczególne znaczenie. Żyjąc wśród ruin przeszłości zachowaliśmy w sobie niezniszczony i niezatarty świat wyobrażeń wyniesionych z dzieciństwa, z tradycji, od ojców i matek, świat uczuć, w którym wyrośliśmy.



oże Narodzenie posiada ich szczególne bogactwo. Nie wyobrażamy sobie, żebyśmy mogli spędzić te dni w sposób powszedni. Wszędzie, gdziekolwiek rzucały nas losy podczas lat wojennych — na froncie, w obozach jeńców czy koncentracyjnych, w obozach śmierci, w leśnych kryjówkach partyzanckich czy w ocalałych domostwach, wszędzie obchodziliśmy Gwiazdkę, jakkolwiek żadne zewnętrzne akcesoria naszego życia wówczas nie mogły służyć do wytworzenia jej cudownego, bajkowego nastroju. Mieliśmy go w sobie. I to wystarczyło.



ie tylko choinka i stajenka, nie tylko opłatek stół wigilijny i pasterka, składają się na obraz naszego święta, który wszyscy w sobie mamy. Lud polski przechował i wytworzył wielkie bogactwo tradycji Bożego Narodzenia, składającą się razem na całość kulturalną, świadczącą o zespoleniu przeżyć religijnych i obyczajowych z naturą. Okres Bożego Narodzenia — poprzez Nowy Rok i Trzy Króle — to okres tzw. „godów". To okres radości, gościnności, fantazji i zabawy. Przypomnijmy sobie, że te dni są jednocześnie pierwszym brzaskiem zwiastującym wiosnę, że wówczas już przekroczyliśmy przesilenie długiej nocy zimowej i przybywające minuty dnia zwiastują powrót wiosny i życia. Jasełka i herody, koszmarna koza i fantastyczny turoń, kolędnicy i wilczęta — to okruchy jakiegoś starożytnego, prawiecznego dramatu, obrazującego zwycięską walkę dobra ze złem, kształtującego ducha z bezkształtną materią, z groźnym demonizmem natury. W tę treść pradawną i bajeczną wplatały się nowe elementy, uzupełniając przechowywaną od niepamiętnych czasów tradycję i sprawiając, iż była ona zawsze żywa.



est mocny i groźny dźwięk budzących się antagonizmów socjalnych w pieśni o koźle w czerwonych butach, jest pamięć legionów napoleońskich, niosących nadzieje oczekiwanego wyzwolenia w innej pieśni o żołnierzach idących w pochodzie, barwnych „jakoby mak zakwitł w ogrodzie". Zawsze przecież w pieśniach, obrzędach i dramatach ludowych dobro i duch zwyciężają. Zły Herod pada, powalony mocą Dzieciątka. Szatan pierzcha, zwyciężony mieczem niebieskiego cheruba. Złe maszkary tracą swoją moc w świetle domowego ogniska i pod wpływem kolędy opadają z nich przerażające, groźne paszczęki, ukazując przyjazne twarze kolędników — ludzi dobrych i życzliwych. Tak w opowieści wigilijnej zwycięstwo nad złem odnosi dobro, nocne koszmary pierzchają przed światłem. Pełni nadziei i wiary w lepsze jutro, zespoleni miłością rodziny, ojczyzny, i ludzkości gromadzimy się dokoła jarzącego się światełkami drzewka i z pieśnią radości czekamy na brzask dnia, który nadejdzie.



GDY ZABŁYŚNIE GWIAZDKA WIGILIJNA, GDY W RODZINNYM KOLE DZIELIĆ SIĘ BĘDZIECIE OPŁATKIEM — PRZYJMIJCIE RÓWNIEŻ DRODZY CZYTELNICY I NASZE Z SERCA PŁYNĄCE ŻYCZENIA

**WESOŁYCH ŚWIĄT**

I POMYŚLNEGO

**NOWEGO ROKU**

**1948**

REDAKCJA I ADMINISTRACJA „TYGODNIA"



*Józef Dominko*

# W NASTROJU ŚWIĄTECZNYM

Przypuszczam, iż każdy człowiek pracy — bez względu na to jaki ma światopogląd, jak siebie nazywa — odczuwa potrzebę oderwania się od trudnych, często złych warunków życia i zmęczony codziennymi troskami, marzy — bardziej lub mniej świadomie — o idealnym społeczeństwie, o stosunkach braterskich między ludźmi.

Sądzę także, że motorem postępu w stosunkach międzyludzkich, przyczyną wielkiego parcia społeczeństw do nowych, sprawiedliwszych ustrojów jest nie tylko potrzeba słuszniejszego podziału chleba, ale przede wszystkim tkwiąca w duszy każdego człowieka chęć „życia po bożemu" — jak to się mówi w języku potocznym. Inna sprawa, że te tęsknoty mogą się realizować tylko stopniowo, i to w miarę dojrzewania procesów ekonomicznych na wielką skalę.

Dowodem tego, co powiedziałem, mogą być początki takich ruchów społecznych, jak socjalizm czy kooperatyzm. Przecież zrodziły się one na początku ubiegłego stulecia w umysłach chrześcijańskich socjalistów; ich promotorów nazywamy utopistami, a więc ludźmi głoszącymi nieziszczalne projekty.

Dopiero w kilkadziesiąt lat potem marzenia Owena czy Fouriera zostały teoretycznie sprecyzowane, uzasadnione i nazwane socjalizmem naukowym — a całej setki lat potrzeba było, ażeby nastąpiły olbrzymie wstrząsy społeczne, umożliwiające realizowanie tych dążeń w skali ogólnonarodowej, i to najpierw w odległych od punktów wyjścia częściach świata.

Kiedy socjalizm więcej lub mniej spokojnie czeka na dojrzewanie zjawisk gospodarczych i na uświadomienie społeczne mas, aby wystąpić od razu z ogromną siłą i stanowczością, łamać bezwzględnie przestarzałe formy życia, to kooperatyzm, zwany u nas spółdzielczością, okazał się bardziej niecierpliwym. Od zarania myśli socjalistycznej tworzy komórki nowego, sprawiedliwszego ustroju, wciska się do wszystkich krajów, do każdego społeczeństwa, chce być czynnym w każdych stosunkach politycznych, gospodarczych i społecznych, aby z czasem, w warunkach najbardziej sprzyjających, już razem z politycznym ruchem mas, stworzyć nowy ustrój oparty na bezkompromisowej moralności społecznej.

×

W okresie Świąt, kiedy chwil wolnych jest najwięcej, a nastrój najbardziej odpowiedni, przyjrzyjmy się ko mórce nowego ustroju, mikrokosmosowi w stosunku do tego, co ma się realizować na skalę ogólnoświatową, jaką jest czy jaką powinna być każda spółdzielnia. Zrozumiawszy jej zasady, jej ducha i moralność, pojmiemy jednocześnie sedno socjalizmu.

Jak w każdej tęsknocie społecznej, tak i w powstałym z tej tęsknoty ruchu spółdzielczym — najważniejszym jest człowiek. Obowiązkiem człowieka jest strzec swojej godności i postępować zgodnie z nakazem sumienia. Tylko to jest obiektywnie dobre, co nie jest sprzeczne z dobrem reszty ludzi, całego społeczeństwa.

Przyjmując to założenie za bezwzględnie obowiązujące każdego i wszystkich, spółdzielczość opracowała zasady postępowania i normy organizacyjne, stanowiące absolutne zaprzeczenie, całkowitą przeciwstawność zasadom i normom, przyjętym w społeczeństwach kapitalistycznych.

A więc przede wszystkim bezwarunkowa równość. Obowiązkiem wszystkich jest lojalność i współdziałanie. Własne położenie można poprawiać tylko przez podnoszenie ogólnego poziomu życia.

Wykluczony jest jakikolwiek wyzysk człowieka przez człowieka. Każdy członek społeczeństwa spółdzielczego może w ostatecznym obrachunku otrzymać tylko to, na co sam zasłużył dzięki wzajemnemu współdziałaniu.

Udział pieniężny odgrywa niewielką rolę i to tylko w początkowym okresie istnienia spółdzielni. Gospodarka spółdzielcza opiera się na funduszu społecznym, gromadzonym z rocznych dochodów.

Fundusz społeczny jest niczyj. Wprawdzie spółdzielnia nim gospodaruje, ale nigdy nie może on być przez kogokolwiek przywłaszczony lub podzielony.

Aby zapewnić każdej zrzeszonej jednostce możność oddziaływania na to co się dzieje w tym drobnym spółdzielczym społeczeństwie i jego gospodarce — spółdzielczość wyszukuje i stwarza najróżnorodniejsze organa, zwane samorządem czy demokracją gospodarczą.

Zasady spółdzielcze nakazują pełną tolerancję różnic religijnych, narodowościowych, politycznych, jakie jeszcze występują między ludźmi.

Nakazem jest podnoszenie uświadomienia społecznego członków, od którego zależy poszanowanie zasad spółdzielczych, norm na praca spółdzielni i rezultaty jej gospodarki.

×

Na takiej moralności społecznej opiera się komórka przyszłego ustroju, jaką jest spółdzielnia. Gdybyśmy poprzez jej pryzmat chcieli spojrzeć w przyszłość, to ujrzelibyśmy społeczeństwo, w którym wszyscy ludzie są sobie braćmi; nie tylko wyzysk jednych przez drugich, ale i wszelka przemoc jest wykluczona; mój los I byt codzienny związane są z losem i bytem całego społeczeństwa; wszelkie różnice między ludźmi są nieważne; najgodniejsza nazwa każdego z nas to — Człowiek. Działalność gospodarcza opierać się będzie na majątku społecznym, który służy wszystkim, ale nie należy do nikogo z osobna.

Czyż to wszystko nie jest wcieleniem naszych tęsknot społecznych? Czyż to nie jest moralność najwyższa? Czy nie jest obowiązkiem każdego z nas dążyć do takiego społeczeństwa?

A nazwa jego: Spółdzielczość i Socjalizm. Synonimy jednej wielkiej rzeczy.

×

Opisane tutaj zasady spółdzielcze, które staną się zasadami przyszłego społeczeństwa socjalistycznego, zrodziły się przed 103 latami. W jeden z dni grudniowych w mieście angielskim Roczdel, uchwalono je na zebraniu założycielskim pierwszej wzorowej spółdzielni.

Dlatego Roczdel nazywany jest Betleem Spółdzielczym.

# XXVII KONGRES PPS

Dobrze się stało, że organizatorzy XXVII Kongresu PPS wybrali na miejsce obrad Wrocław. W ten sposób właśnie w stolicy Ziem Odzyskanych masy zgrupowane pod sztandarami PPS mogły dać wyraz swej nieugiętej woli utrzymania nierozerwalnego związku Ziem Odzyskanych na zachodzie z resztą Polski. Stało się to tym wyraźniejsze, że termin Kongresu zbiegł się przypadkowo z momentem zerwania londyńskiej konferencji Wielkiej Czwórki, która miała ustalić przyszły los Niemiec i opracować projekt traktatu pokojowego. Zerwanie konferencji nastąpiło m. in. właśnie pod hasłem zakwestionowania granic zachodnich Polski. XXVII Kongres PPS odpowiedział na zakusy imperializmu anglosaskiego apelem do świata postępu. Wśród niesłychanego entuzjazmu uczestników Kongresu uchwalono rezolucję, zwracającą się do wszystkich partii socjalistycznych i komunistycznych świata, do światowej federacji związków zawodowych, do wszystkich organizacji robotniczych oraz do wszystkich ludzi miłujących pokój i postęp, wzywającą „do przeciwstawiania się próbom nowego Monachium, w którym interesy narodów i ofiar agresji i okupacji Niemiec hitlerowskich zostałyby ponownie poświęcone polityce popierania niemieckiego nacjonalizmu i imperializmu", do przeciwstawienia się polityce nowego kordonu sanitarnego, który podzielił Europę i świat na dwie części. Równocześnie rezolucja stwierdziła, że w ciągu ostatnich dwóch lat zostało dokonane całkowite zespolenie Ziem Odzyskanych z Polską, które przekreśla rachuby imperializmu anglosaskiego, usiłującego poddać w wątpliwość trwałość naszych granic zachodnich. **„Granice rzeczne na Odrze i Nysie Łużyckiej stanowią granice bezpieczeństwa wszystkich krajów miłujących pokój, stanowią granice pokoju światowego".**

Polska Partia Socjalistyczna, przedstawicielka tradycji półwiekowych walk o niepodległość i socjalizm, dała wyraz tymi rezolucjami, że nadal stoi i stać będzie na straży najświętszych dążeń narodu polskiego i całego świata postępu. Symbolem tego było odśpiewanie po kolei trzech hymnów: Międzynarodówki, która jest pieśnią łączności i wspólnoty wszystkich sił postępu na świecie, Hymnu Narodowego, stwierdzającego niezłomną wolę narodu polskiego do wytrwania i pokonania wszystkich przeciwieństw dla dobra Ojczyzny, oraz pieśni symbolizującej walkę narodu polskiego z odwiecznym jego wrogiem — „Roty".

Kongres zamanifestował również, że nie istnieje w szeregach socjalistycznych nic, coby sprzeciwiało się dotychczasowej linii postępowania kierownictwa Partii, polityce jednolitego frontu i współpracy z Polską Partią Robotniczą. PPS wyszła z XXVII Kongresu wzmocniona, okrzepła, zwarta i jednolita, utrwalająca swą rolę, jako potężnego czynnika obozu demokracji w Polsce i walki o pokój i zwycięstwo ideałów demokratycznych w skali światowej.

*ANNA SŁOŃCZYŃSKA*

## NIEBIESKI GOŚĆ

*Zszedł z nieba na świat, gdzie jest dużo ludzi,*
*Duchem Mu obcych i duchem Mu bliskich,*
*Jako Przyjaciel żadnego człowieka*
*I jako Przyjaciel — wszystkich.*

*Zszedł z nieba na świat, co jest światem kontrastów*
*Słońca radości i smutku cienia,*
*Jako zarazem Największy Cierpiący*
*I jako — Lekarz Cierpienia.*

*Zszedł z nieba na świat, gdzie winnych grzech plami,*
*A gdzie niewinnych znowu pycha plami,*
*Jako tyran grzechu i jednocześnie —*
*Opiekun nad grzesznikami.*

*Zszedł z nieba na świat, gdzie są:*
*Róże, miłość, złoto, poezja, szczęście, gwiazd kobierce,*
*Aby nam przynieść cichy dar*
*Większej wartości, niż to wszystko: serce.*



**Wicemarszałek Sejmu Stanisław Szwalbe został wybrany na przewodniczącego Rady Naczelnej PPS.**

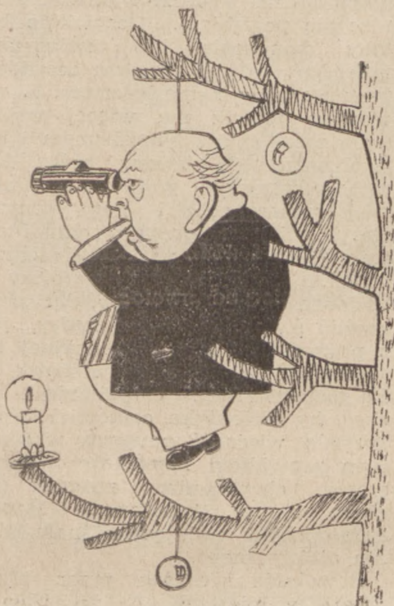


**Prezes „Społem" Jan Żerkowski w przemówieniu na XXVII Kongresie PPS we Wrocławiu podkreślił nierozerwalną więź spółdzielczości z socjalizmem.**

# CHOINKA
## W KARYKATURZE ZEBROWSKIEGO



CHOINKA PREZ. TRUMANA



CHOINKA CHURCHILLA

— Stąd lepiej widzę, co się dzieje za „kurtyną"...



CHOINKA GEN. FRANCO

— Tylko połowa, bo połowa siedzi..



CHOINKA MINISTRA BIDAULT

— Nic na niej nie wisi, gdyż we Francji de Golo i Bido...

# Quas
# SUKCES TOWARZYSKI

Powinno się jednak więcej w świecie bywać.

Niedobrze jest tak się znowu w domu zagrzebać i ani nosem za próg nie wyjrzeć.

Później dopiero człowiek między ludźmi nieswojo się czuje.

A w ogóle stosunki znaczą bardzo dużo.

A w domu, co człowiek wskóra?

O żonatych nie mogę mówić, gdyż niedawno byłem zmuszony złożyć własnej małżonce solenne przyrzeczenie, że nie będę więcej szargał na tym miejscu świętości i kalał wzniosłej atmosfery, otaczającej czcigodną instytucję hymenu.

Wystarczy tu zresztą zacytować przysłowie, które łącząc dyskretną formę z głęboką treścią najtrafniej maluje bolesny stan rzeczy:

„Kawalerowi wszędzie źle, a żonatemu tylko w domu".

Nie chodzi mi zresztą o żadne teorie wywrotowe, broń Boże!

Chcę tylko powiedzieć, że dobrze człowiekowi robi, kiedy trochę między ludzi się wyrwie.

Kiedy usłyszy parę komplimentów i słów uznania zamiast dobrze znanego repertuaru o charakterze wprost przeciwnym.

Dlatego nie wymawiałem się zbytnio, kiedy Henio prosił:

— Przyjdź koniecznie! Będzie parę osób i strasznie chcą ciebie poznać! Żona też mi już dawno głowę suszy, żebym cię pokazał.

Przyszedłem w terminie i skromnie zająłem wyznaczone mi miejsce przy stole. Zaintrygowany potrójną kondygnacją talerzy, pochyliłem się uprzejmie do sąsiadki.

— Czy nie wie pani, co będzie na pieczyste? — zapytałem półgłosem.

Ale widocznie wiedziała. Dość, że zamiast mi odpowiedzieć, powtórzyła moje pytanie swojemu sąsiadowi.

— Udało ci się, — poklepał mnie Henio, napełniając mój kieliszek.

— Ja bym wolał nie pić — szepnąłem nieśmiało. — Muszę jeszcze dziś pracować...

— On by wolał nie pić! — zawołał głośno Henio. — Słyszeliście?!

Zrobiła się wrzawa, z której dolatywały moich uszu upojne okrzyki:

— Ach, szelma! To jest numer!

Uśmiechnąłem się fałszywie, by pokryć ogarniające mnie zmieszanie. Zdaje się, że wypiłem wtedy przez roztargnienie cudzą wódkę.

— Poczekaj, dam ci większy kieliszek! — roześmiał się Henio. — Żebyś nie łapał sąsiadom.

Nie chciałem pić dużym kieliszkiem.

— Wódka podobno szkodzi. — podniosłem na niego ufne spojrzenie. — A ty chcesz, żebym pił tyle...

— Wódka podobno szkodzi! — zaryczał Henio.

— Och, łajdak! — jego sąsiad zalewał się łzami radości.

Kiedy się trochę uspokoiło, Henio mnie trącił w łokieć.

— Pij — powiada — bo nieładnie. Wszyscy tu wiedzą, że lubisz popić.

Po kilku kolejkach nabrałem szczerego humoru.

Czułem dokoła życzliwe dusze.

— Zrób jaką sztukę! — wołał Henio.

— Tak, tak! — krzyczeli wszyscy.

Postawiłem na butelce od piwa kieliszek, na kieliszku szklankę, na szklance popielniczkę, na popielniczce talerz, a nim znów butelkę, a na niej trzy kieliszki, jeden na drugim.

Dopóki przytrzymywałem swe dzieło palcem, jakimś cudem wszystko stało, lecz kiedy spróbowałem go cofnąć, kunsztowna piramida runęła z brzękiem.

Huragan śmiechu powitał ten wypadek.

Zachęcony życzliwym przyjęciem, po chwili wystawiłem drugą podobną piramidę. Zwaliła się również niebawem, ku żywej uciesze obecnych.

Zabawa była coraz lepsza. Wymyśliłem sposób rozbijania jedną butelką od piwa piętnastu takich samych, ustawionych na podłodze w „piramidkę".



*Zabawa była coraz lepsza*

Żona Henia tylko nie brała udziału w ogólnej zabawie, gdyż na samym początku odłamek szkła ugodził ją w oko, więc położyła się trochę.

Moje pomysły zyskały ogólne uznanie.

Wkrótce wszystko, co dało się rozbić, spoczywało w okruchach na podłodze.

Ponieważ towarzystwo spoglądało na mnie z ufnością, oberwałem jeszcze trzy portiery i zręcznym ruchem laski rozbiłem żarówki w żyrandolu.

Wychodziłem od Henia, żegnany objawami ogólnej sympatii.

— Podbiłeś wszystkich! — powiedział Henio, ściskając mi kordialnie prawicę.

Na pożegnanie wybiłem jeszcze [illegible] szybę we drzwiach, co przyjęto burzą oklasków.

Wracałem do domu, jak nie ten człowiek.

Co to robi jednak uznanie!

Stanowczo powinno się więcej w świecie bywać.

QUAS

# KRONIKA KULTURALNA

**LITERACKA NAGRODA** Nobla za r. 1947 została wreszcie przyznana. Otrzymał ją André Gide za całokształt twórczości. Być może słuszność ma Paweł Hertz w „Kuźnicy", twierdząc, iż Gide „otrzymał nagrodę nie za to, że przez pół wieku burzył mieszczańskie przesądy, ale za to, że je od dziesięciu lat burzyć przestał". Pół wieku oburzenia, to i tak ogromny kawał czasu. Doprawdy, tylko Francuzi i Anglicy umieją być tak bardzo żywotni. Hercen w swych pamiętnikach powiada: „Strasznie mocne organizmy mają ci Anglicy: w jaki sposób zdobywają taki zasób sił i na tak długi czas — to zagadka". Istotnie. To samo Francuzi. Bernard Shaw zapomniał już o osiemdziesiątce, a taki Anatol France po siedemdziesiątce dopiero się rozpisał. Co do André Gide'a, tak się jakoś zawsze myślało, że nie może być jeszcze staruszkiem, tymczasem urodził się w r. 1869, dobiega więc osiemdziesiątki. Nic dziwnego, że od dziesięciu lat ustatkował się i przestał burzyć: każda starość chce mieć trochę spokoju i robi się wreszcie konserwatywna. Mimo wszystko, ten sceptyczny potomek jansenistów i hugenotów spełnił swoją rolę w literaturze. „Nienawidzę kłamstwa — taka była jego dewiza: — i wolę, żeby mnie nienawidzono za to, czym jestem, niż kochano za to, czym nie jestem". W naszej literaturze krytycznej ostatnim studium, poświęconym Gide'owi, jest szkic Jana Kotta pt. „Dramat pozorów" w tomie „Mitologia i realizm".

**PRZYKŁADEM** długowieczności i pracowitości pisarzów francuskich jest również Tristan Bernard, który umarł właśnie, mając lat 81. Oczywista, był to zupełnie inny typ pisarza, niż Gide. Komediopisarz bulwarowy, ale rzecz prosta — na poziomie paryskim; autor uciesznych krotochwil, Bernard należał do tej plejady (jeśli ją tak można nazwać), którą stanowili: Flers i Caillavet, Sacha Guitry, Pierre Veber, na koniec Courteline, arcymistrz farsy. Wszyscy oni — to znakomici fachowcy teatralni, spece od dobrze zrobionej sztuki rozrywkowej, jakich mało gdzie można znaleźć w Europie. Toteż i w Polsce cieszyli się wielką popularnością.

**PO OŚMIU LATACH** wznowiony został „Przegląd Powszechny", miesięcznik „poświęcony sprawom religijnym, kulturalnym i społecznym". W słowie wstępnym redakcja mówi, że program jej streszcza najtrafniej łacińska zasada: „Non illudi, non flere, neque mirari nec indignari, sed intelligere". Znaczy to mniej więcej: nie ulegać bezpłodnym marzeniom, nie dać się łamać klęskom, nie dziwić się niczemu, nie przejmować się i nie gorszyć, lecz starać się wszystko rozumieć. Jest to bardzo piękna stoicka zasada, ale nie łatwa w praktycznym stosowaniu. Możnaby ją raczej nazwać postawą filozoficzną niźli życiową.

**W „ODRODZENIU"** (Nr 50/159) p. Zygmunt Wojciechowski przypomina rocznicę rzeczywiście doniosłą: 600-lecie Statutu Wiślickiego (r. 1347) Kazimierza Wielkiego. Było to pierwsze uporządkowanie ustawodawstwa polskiego w formie zbioru zwyczajowego prawa prywatnego, karnego i procedury sądowej. Bez wątpienia ukaże się więcej artykułów, pióra specjalistów, omawiających ten znakomity pomnik naszego prawodawstwa.

St. Latka

PAWEŁ OFIERZYŃSKI

# REWOLUCJA NIESKOŃCZONA

*Zamieszczony poniżej artykuł nie wyraża poglądów Redakcji i ma charakter dyskusyjny.*

*Oddając głos autorowi otwieramy dyskusję na temat jednego z podstawowych problemów ideologicznych doby obecnej.*

Każde święto można obchodzić w dwojaki sposób: w bezwoli odpoczynku, lub w twórczym skupieniu. Im intensywniejsza praca wypełnia dzień powszedni, tym większy postulat odprężenia i niechęć do jakiejkolwiek koncentracji uwagi. Mimo jednak intensywności obowiązków pracy warto jest niekiedy snuć refleksje nad istotą obchodzonych świąt. Zwłaszcza jeśli długowieczna tradycja danego święta usypia czujność twórczych refleksji rozumu.

Dzień narodzin Chrystusa. Jedni wierzą w Jego Bóstwo, inni uznają Jego geniusz moralny, jeszcze inni twardo Go krytykują, a są tacy, którzy przeczą w ogóle Jego historycznemu istnieniu. Prawie każdy cywilizowany człowiek przeżywa w jakiś sposób tę postać. Płyną refleksje. Z tym większą siłą uderzają, im powszechniej i im głębiej dokonywuje się we współczesnym świecie przewartościowanie wszelkich pojęć. Zmieniają się poglądy polityczne, społeczne, gospodarcze. Ginie w naszych oczach świat kapitalistyczny tak w znaczeniu ustroju społeczno - gospodarczego, jak również w sensie całego stylu życia z odrębną hierarchią wartości. W każdym człowieku, w każdym narodzie zjawiają się konflikty wewnętrzne; jakie wartości rzucać, za jakimi się opowiadać, czym żyć? Rodzi się świat nowy. Tym ogniem dręczących pytań musi być również objęty świat pojęć moralnych i religijnych.

Ma to specjalnie doniosłe znaczenie dla narodu polskiego, który mieni się być narodem chrześcijańskim. Wielkie spory religijne o charakterze teologicznym już dawno zeszły z areny publicznej. Toczą się wyłącznie w ramach organizacji czysto wyznaniowych, ale toczą się również w duszy każdego człowieka wierzącego, [illegible] w istnienie Boga lub Jego nieistnienie. Formalnie wielomilionowe masy polskie są katolickie. Stąd też problematyka moralna i religijna istnieje prawie w każdym Polaku. Dzień narodzin Chrystusa potęguje bogactwo refleksji na te tematy.

Najistotniejsze i najtrudniejsze pytanie, które staje przed każdym chrześcijaninem, to pytanie: dokąd świat zmierza, czy świat nowy jest — by użyć słów Saint Simona — nowym chrześcijaństwem, czy też jego zaprzeczeniem, a więc czy go uznać czy odrzucić. W sprawach światopoglądu odpowiedzi powinny być jasne i proste. Mowa nasza powinna być: tak lub nie. I tu od razu zaczynają się ogromne trudności. Wynikają one przede wszystkim z wielkiego zamieszania pojęć i sądów. Trzeba stwierdzić twardo, że pojęcia chrześcijańskie nie są dziś jednoznaczne. Albo ściślej: są jednoznaczne w kanonach dogmatów teologicznych, ale są wieloznaczne w rozumieniu etycznym procesów społecznych świata. Wszak w umysłach wielu chrześcijan zasady chrześcijańskie są najbliższe ginącemu światu kapitalistycznemu. Należy o tym mówić otwarcie i bez skrępowania. Oficjalne enuncjacje Kościoła potępiające ustrój kapitalistyczny są pewną formalną deklaracją, która nie przeniknęła do sumień i umysłów chrześcijan. To nie jest rewelacją, że nadzieje tego świata chrześcijańskiego łączą się ze zwycięstwem koncepcji amerykańskiej, a więc nawskroś kapitalistycznej. To nie jest czczym wymysłem, ale faktem, że za chrześcijańską tęsknotę uważa się mit o „inicjatywie prywatnej". Mówiąc językiem społecznych i politycznych orientacji: wiele objawów wskazuje na to, że chrześcijanizm może być tylko na prawicy. Wysiłki świadomych i odważnych chrześcijan, by temu szkodliwemu dla samego chrześcijaństwa poglądowi zaprzeczyć — nie dają dużych rezultatów. I oto w ten sposób wikła się duszę niemal każdego chrześcijanina w dogłębną tragedię osobistą.

Myśli wracają do osoby samego Chrystusa. Człowiek łaknie prawdy. Szuka jej u źródła. Czym był Chrystus w momencie objawienia swej nauki. Niema na to trafniejszego określenia, jak tylko jedno: był wielkim rewolucjonistą. Zasady miłości przez niego głoszone, rewolucjonizowały cały ówczesny pogląd na świat. Jeśli co roku święcimy dzień jego narodzin, obchodzimy rocznicę najdonioślejszej w dziejach rewolucji. Tej rewolucji, która się nie skończyła i nigdy nie skończy, jak nieskończona jest walka o miłość i sprawiedliwość w życiu ludzkim. Z niezrozumienia najistotniejszego sensu chrześcijaństwa płyną wszystkie jego wypaczenia; wiązanie się z przemijającymi formami ustrojowymi niszczącymi zasady braterstwa społecznego i sprawiedliwości, zastyganie ducha ofiary — wiecznego rewolucjonisty, zamieranie żywej treści w starych naczyniach przemijającej epoki. W konsekwencji chrześcijanin, który winien być w awangardzie każdej rewolucji postępu społecznego, miesza się z szeregami jej przeciwników. Co gorsza, czyni to z najlepszymi intencjami — ale w ciemnej, pożałowania godnej ignorancji. Jawi się w ten sposób kapitalny paradoks: nowy świat rodzi się z wartości nawskroś chrześcijańskich, bo z zasady poszanowania człowieka, szacunku wobec jego człowieczeństwa, z zasady sprawiedliwości społecznej, te zasady jednak głoszą ludzie, którzy nie mienią się chrześcijanami, sami zaś chrześcijanie trwają w rozterce, czy wolno im solidarnie budować ów świat nowy łącznie z tymi, którzy wzięli część ich haseł i zasad.

Stąd kopią się rowy przepastne między (nazwijmy ich po imieniu) marksistami, a chrześcijanami. Różnice się pogłębiają. Oczywiście byłoby demagogią lub naiwnością twierdzić, że chrystianizm ma identyczne zasady z marksizmem. Z pewnością jednak ma więcej wspólnych zasad, niż z liberalizmem i kapitalizmem. Marksizm, który daje metodę realnego pojmowania zjawisk społecznych i gospodarczych jest bliski obiektywistycznemu i uniwersalistycznemu poglądowi chrześcijan. Marksizm, który walczy o bezklasowe społeczeństwo, by przekreślić świat krzywdy i nędzy, jest z pewnością bliski rewolucyjnej zasadzie miłości bliźniego. Różnice leżą gdzie indziej: chrystianizm nie chce, by dialektyka całkowicie przekreślała wierność pewnym niezłomnym prawidłom moralnego postępowania, chrystianizm również nie chce, by z marksizmem łączono światopogląd wojującego materializmu ateistycznego.

Rewolucja głoszona przez Chrystusa jest nieskończona w czasie i przestrzeni. Żywa wiara chrześcijanina powinna go zawsze kształtować na wiecznego rewolucjonistę. Nie ma bowiem konsekwentniejszego radykalizmu społecznego, jak wyrosły na zasadzie heroicznej miłości bliźniego. A takie jest rozumienie miłości chrześcijańskiej. Świadomy chrześcijanin musi być zawsze po stronie postępu. Chrystianizm jest ponad czasem i nie może się wiązać z żadnymi przemijającymi ustrojami. Nakazuje jednak, by każdy chrześcijanin zawsze w każdym miejscu powiększał obszar panowania miłości nad nienawiścią, sprawiedliwości nad krzywdą.

Co z tych refleksji świątecznych wynika? Przede wszystkim ukazują one na jakich bezdrożach błąka się dziś myśl ludzka w poszukiwaniu nowego życia. Wskazują na nieporozumienia w ocenie wartości. Nade wszystko zaś ujawniają, że chrześcijanie wyznawcy rewolucji nieskończonej, nie mogą stać na straży starego porządku, który leży w interesie nielicznej garstki posiadających i wielkich imperializmów kapitalistycznych. Pouczają, że nowy świat o tyle będzie wsparty na zasadach miłości i sprawiedliwości, o ile chrześcijanie sami nasycą go tymi zasadami. Będą to mogli zaś uczynić w solidarności z siłami postępu, a nie w obłędnej walce z nimi lub w izolacji od nich. Jeśli chrześcijanie pragną wpływać na budowę nowego świata, to nie mogą tego uczynić poza obrębem tego świata. Nie w tym leży problem, że kończy się chrystianizm a rozpoczyna marksizm. Idzie o to, aby wszystkie siły postępu zwyciężyły siły wstecznictwa. Chrześcijanie zaś mają tylko jeden wybór: drogę postępu, obdarzającą każdego człowieka światłem i ciepłem, tak jak ongiś rewolucją była ewangelia światła i ciepła braterskiego głoszona przez Chrystusa dla wszystkich ludzi upośledzonych. Ta ewangelia nie została jeszcze zrealizowana. Rewolucja miłości jest nieskończona.

## KĄCIK JĘZYKOWY

## ROBIĆ — TO ZA MAŁO

**Nie tylko w prasie codziennej, ale i w prasie literackiej, a nawet w książkach, napotykamy powszechnie takie zwroty, jak: zrobić wrażenie, zrobić przyjemność, zrobić krzywdę, zrobić przysługę — przy czym bardzo często jedynym epitetem, używanym przy wymienianych rzeczownikach, jest przymiotnik „wielki": powstają więc szablonowe zespoły słów: zrobić wielką przyjemność, zrobić wielkie wrażenie itd.**

**Zwroty powyższe nie są błędne. Są tylko UBOGIE, a ubożyć języka nie ma racji, przeciwnie — trzeba go bogacić. Jeśli takie zwroty można wybaczyć gazecie, której pośpiech nie pozwala na staranniejsze opracowanie stylu, trudno je darować prasie literackiej, a już zgoła niedopuszczalne są w wydawnictwach książkowych, autorzy ich bowiem dość mają czasu na wygładzenie stylu, mającego służyć za wzór dla przeciętnego czytelnika.**

**Przytoczone zwroty świadczą o tym, że stosunek nasz do języka jest bierny. Idziemy, jak to się mówi, po linii najmniejszego oporu, posługując się ogólnikami słownymi, używając najprostszych określeń i nie zadając sobie trudu na wyszukanie zestawień językowych bardziej wyrazistych i bogatych, których mowie naszej nie brakuje.**

**Możemy mówić przecie tak: sprawić wrażenie, wywrzeć, wywołać. Wrażenie może być nie tylko „wielkie", ale i korzystne, miłe, silne, dodatnie, głębokie, trwałe, niezatarte itp. Szablonowy zwrot „zrobić wielką przyjemność" możemy zastępować takimi: sprawić znaczną przyjemność, niecodzienną przyjemność, niezwykłą; albo — dostarczyć komuś przyjemności. Podobnie postąpimy ze zwrotem „zrobić krzywdę" albo „zrobić przykrość". Powiedzmy: wyrządzić przykrość, wyrządzić krzywdę — ciężką, dotkliwą, bolesną, niezmierną. Natomiast, jeśli ktoś nam krzywdę wyrządza, możemy — zamiast: on nam zrobił krzywdę — powiedzieć: doznaliśmy od niego krzywdy, znosimy krzywdę, ponieśliśmy krzywdę.**

**Tak samo przestylizować możemy zwrot „zrobić przysługę" na inne: wyświadczyć przysługę, oddać przysługę.**

**BAKAŁARZ**

**P.S. Pan Czesław Kopyciński, oddział „Społem" w Rzeszowie.**

**Dziękujemy za miłe słowa. Zapytuje Pan, jak należy mówić: „podać do wiadomości rady oddziału", czy: „do wiadomości radzie". Pierwsza forma jest poprawna. Mówi się: podać do wiadomości czyjej — a zaimek „czyj" rządzi dopełniaczem (2-gim przypadkiem). Wielki słownik warszawski Języka Polskiego daje takie przykłady: podać do wiadomości powszechnej, do wiadomości ogółowi. — Najlepszą gramatyką polską jest zbiorowa praca profesorów Benniego, Rozwadowskiego, Łosia, Ułaszyna i Nitscha (Kraków 1923). Podręcznikiem doskonałym jest „Gramatyka języka polskiego" Adama Antoniego Kryńskiego. Bardzo dobry jest również podręcznik Szobera, tudzież jego „Słownik ortoepiczny" czyli „Jak mówić i pisać po polsku". Będziemy wdzięczni za wszelkie uwagi i zapytania.**

# Film TYGODNIA

## KIOSK „SPOŁEM“ WE WROCŁAWIU



Kiosk „Społem“ i Powszechnej Spółdzielni na XXVII Kongresie PPS we Wrocławiu w hallu Politechniki, ku ogólnemu zadowoleniu zebranych, zaopatrywał w papierosy nawet amerykańskie.

## WALKA Z GRUŹLICĄ



W dekadzie „walki z gruźlicą“ Ministerstwo Zdrowia otrzymało z Ambasady Amerykańskiej 1.000 książek dwutomowych o diagnostyce i leczeniu gruźlicy oraz 200 plakatów obrazujących walkę z gruźlicą.



Sanatorium Przeciwgruźlicze Zakładu Ubezpieczeń Społecznych w Bystrej Śląskiej

SAP

# 100 WIERSZY O SPORCIE

NA ODJEZDNEM Z WARSZAWY koszykarki praskiej Sparty, które w czasie trzech spotkań w Polsce najwyższe zwycięstwo osiągnęły z AZS, powiedziały naszym akademiczkom na pociechę: „Nie martwcie się, w Trieście, gdzie grałyśmy niedawno, zwyciężyłyśmy w jeszcze większym stosunku“. Zapytane co najbardziej im się u nas podobało, prażanki odpowiedziały zgodnie!... „Krem“. Istotnie, zajadały się smakowitym kremem po różnych cukierniach stolicy.

W SPORCIE NASZYM PRZEŻYWAMY niebywałą sensację, która urasta, niestety ,do miary afery. Oto niema! już w 24 godziny po zwycięstwie Grochowa nad Wartą 9:7 w mieczu o drużynowe mistrzostwo Polski w boksie, nadeszła do Warszawy depesza od Polskiego Związku Bokserskiego z Poznania orzekająca wynik spotkania jako 8 : 8. W decydującej o wyniku meczu walce Archacki — Klimecki, w której był remis, decyzją PZB nastąpiła zmiana przyznająca zwycięstwo Klimeckiemu, co pociągnęło za sobą remisowy ogólny wynik spotkania. Powodem tej niezwykłej decyzji przy „zielonym stoliku“ w siedzibie PZB w Poznaniu, było wadliwe wypełnienie karty punktowej przez jednego z sędziów.

Zaraz po meczu Warta założyła protest, który Komisja Odwoławcza, złożona m. inn. z delegata PZB — odrzuciła. Na meczu obecny był m. inn. prezes PZB, mówiąc nawiasem członek Warty, który oświadczył, że w Poznaniu i tak będzie wynik 8:8. Oświadczenie to, dyskwalifikujące prezesa najwyższej magistratury sportowej, znalazło się m. inn. w memoriale, jaki złożył Grochów Państwowemu Urzędowi WF i PW, który ze swej strony odwołał decyzję PZB.

Sprawa ta jest niezmiernie przykra. Pomijając dziwne postępowanie prezesa PZB uderza tu brak zaufania do własnych sędziów, którzy w Komisji Odwoławczej rozpatrywali i odrzucili protest. W prasie na skutek postępowania PZB pojawiły się komentarze z wielce wymownymi epitetami jak: krętactwo, machlojki itp., co naświetla rozmiary sprawy i rzuca światło na stosunki, panujące w naszym światku bokserskim.

W TROSCE O NALEŻYTE przygotowanie się do zimowej olimpiady w St. Moritz hokeistom naszym zorganizowano obóz w Dziekance, w lokalu udzielonym przez gościnny Zakład dla ...Umysłowo Chorych. Według zapewnień kierownictwa obozu, hokeiści mają tam komfort pierwszej klasy. „Wszyscy są pod baczną obserwacją dyrektora tutejszego zakładu“ — powiedział w wywiadzie jeden z kierowników. Śpijmy więc spokojnie, dyrektor zakładu to przecież nie byle jaki fachowiec.

Inny kierownik obozu żali się tylko na brak lodu, przy czym mówi dosłownie: „Brak nam tylko lodu, lodu, lodu...“. Oczami wyobraźni widzę, jak dyrektor zakładu gładzi naszych hokeistów po płowych główkach i szepce im czule: „Nie martwcie się, chłopaczki, bądźcie grzeczni, a będziecie mieli i lód“. Bo dyrektor owego zakładu ma dużą rutynę i wie, że w takich wypadkach lepiej jest postępować łagodnie, choćby czasowymi pensjonariuszami mieli być ...hokeiści.

NIEMCY DOKŁADAJĄ wszelkich starań, aby pozwolono im wziąć udział w igrzyskach olimpijskich w 1952 r. Mają już, ponoć, przychylną opinię samego lorda Burghley'a. Oczywiście, o udziale w olimpiadzie londyńskiej w 1948 r. jeszcze nie mogą marzyć.

W lutym na Międzynarodowym Kongresie Kolarskim prezes Polskiego Związku Kolarskiego ponownie ma wysunąć projekt, który na poprzednim kongresie nie miał poparcia, mianowicie o usunięcie Niemców z międzynarodowego sportu kolarskiego na lat 20.

Zestawmy te dwa fakty, a łatwo zorientujemy się, że nie wszystkie narody wierzą jeszcze w Oświęcim czy Dachau.

ZYGMUNT WEISS




*Rys. I. Zebrowski*

**Koszykarki nasze przegrały bardzo wysoko z Czeszkami.**

**— MOŻE TAK WYGRAŁYBYŚMY...**

## Spółdzielczy Dom Towarowy powstał w Lublinie

Lubelska Spółdzielnia Spożywców (Lublin, ul. Szopena 22) należy do najstarszych tego rodzaju placówek, powstała bowiem w 1913 r. Przez okres swego istnienia dała Polsce wielu zasłużonych dziś pracowników spółdzielczych, spośród których na plan pierwszy wysuwa się osoba Prezydenta Rzeczypospolitej — Bolesława Bieruta.

L.S.S. rozpoczynał swą pracę, stopniowo zajmując coraz wyższe stanowiska, aby wreszcie znaleźć się u zasłużonych szczytów polskiej spółdzielczości. Obecnie L.S.S. zrzesza 10.000 członków, zatrudnia 360 pracowników i prowadzi 55 sklepów (40 — spożywczo-kolonialnych, 4 — włókiennicze, 4 — z artykułami żelaznymi i gospodarstwa domowego, 3 — z pieczywem, 2 — z branży chemicznej, 1 — rybny i 1 — z meblami) oraz Spółdzielczy Dom Towarowy, który otwarty został w dniu 22 października br. Pierwszy ten w Lublinie Dom Towarowy posiada 14 bogato zaopatrzonych w towary działów. Ponadto L.S.S. prowadzi: piekarnię mechaniczną, wytwórnię wód gazowych, rozlewnię octu i rozlewnię piwa.

L.S.S. dzięki swej rozbudowie całkowicie panuje nad miejscowym rynkiem. Jest faktycznym regulatorem kształtowania się cen i stanowi skuteczny aparat interwencyjny w każdym wypadku, skoro tylko zajdzie ku temu potrzeba. L.S.S. prowadzi wyłącznie rozdawnictwo artykułów k... wych dla ludności m. Lublina. Sieć sklepów L.S.S. jest tak rozplanowana, że każda najbardziej odległa dzielnica miasta jest obsłużona. Zarząd L.S.S. postawił sobie ambitny cel podwojenia w najkrótszym czasie dzisiejszej ilości sklepów. Cel ten niewątpliwie zostanie osiągnięty. Gwarancją tego jest sprężyste kierownictwo L.S.S. w osobach p. p.: Piotra Krupki — prezesa Zarządu, Zygmunta Siwka i Bolesława Lasockiego — członków

Obroty L.S.S. w 1946 r. przyniosły 426.746.316.— zł, a pierwsze półrocze br. dało już 421.131.785.— zł.

W roku ubiegłym L.S.S. nabyła częściowo zabudowany plac w śródmieściu. W r. b. kosztem 15 milionów zł. buduje na tym placu własne garaże i warsztaty samochodowe. Na rok przyszły opracowano już dalsze plany zabudowy: staną obszerne i nowoczesne magazyny. Zakończenie zabudowy placu nastąpi w dalszym etapie. Będzie nim wzniesienie gmachu, w którym znajdą właściwe pomieszczenia wszystkie biura L. S. S.

Na zakończenie wspomnieć jeszcze należy o pracy Wydziału Społeczno-Wychowawczego L.S.S., którym kieruje znana i zasłużona wielokrotnie działaczka spółdzielcza, p. Wanda Papieska. Wydział prowadzi bibliotekę, zawierającą 6.000 tomów i cieszącą się dużą frekwencją czytelników. **(a.)**

## Spleczenie czyli kulawy Mickiewicz

Niezmiernie zajmujący artykuł ogłosił p. Zygmunt Sitnicki w ostatnim numerze „Warszawy" (Nr 13). Artykuł nosi tytuł „Sylwetka duchowa młodego Adama Mickiewicza", i jest próbą zbadania osobowości poety w jego czasach wileńskich, próbą w duchu „typologii" i charakterologii", uprawianych przez Kretschmera i Adlera. P. Sitnicki spożytkowuje głównie dwa dzieła wymienionych badaczów: „Körperbau und Charakter" pierwszego i „Znajomość człowieka" drugiego. W bardzo grubym i prostackim niemal skrócie powiedzieliśmy, że istotę poglądów tych dwóch uczonych stanowi stwierdzenie, iż osobowość człowieka, a zwłaszcza człowieka genialnego, związana jest z jego budową fizyczną. z konstytucją jego organizmu. Oczywista, jak to się mówi, nic nowego pod słońcem: już Grek Galen, najsławniejszy po Hipokratesie lekarz starożytności, w II w. po Chr., rozróżniał w ludziach cztery temperamenty: sangwiniczny, choleryczny, flegmatyczny i melancholiczny, zależnie, jak wykładał, od przewagi w organizmie krwi, żółci lub flegmy, i ten podział Galena utrzymał się w ogólnych zarysach w nauce po dziś, aczkolwiek zasada jego uznana została za fałszywą, nie krew bowiem, nie żółć i flegma determinują usposobienie człowieka, lecz raczej gruczoły i chormony.

Na zachodzie Europy nauka poświęcała dużo wysiłku, żeby ze stanowiska charakterologii wykreślić tzw. „linię życia" i zawisłą od niej twórczość czy też działalność wielkich ludzi. Tak np. zbadana jest gruntownie „linia życia" Goethego, jako „osobistości maniakalno - melancholicznej", podległej „ruchowi falistemu" w życiu duchowym, z kolejnymi i zadziwiająco regularnymi, powtarzającymi się bowiem co siedem lat, okresami „wysokiego podniecenia" i depresji. Takie badania są bardzo pouczające i, jeśli się nie dochodzi w nich do przesady, mogą rozświetlić dzieło artysty, wyjaśnić w nim wiele rzeczy, nad którymi na próżno się będzie głowił, albo będzie je tłumaczył mylnie czy opacznie zwykły historyk literatury.

W naszej nauce były czynione pewne próby — drobne — nad analizą osobowości Mickiewicza. Nie spotkały się one, jak się zdaje, z życzliwym przyjęciem zawodowym historyków literatury, przysięgłych hagiografów i brązowników: „świętości nie szargać" — to hasło stoi zazwyczaj na straży ich naukowości. Wszelako niewielka praca dra Jana Offenberga, bodaj niedostrzeżona, pt. „Ostatnia choroba Adama Mickiewicza na tle ogólnego stanu jego zdrowia" (Warszawa 1939) rzuciła, jak powiadają, snop — raczej snopek światła na tajemnice jego geniuszu pisarskiego. Ciekawe jest, jak to zbadał dokumentalnie Offenberg, że i Mickiewicz miewał okresy głębokiej depresji, graniczącej z „letargiem", a potem okresy wielkiego napięcia wszystkich władz fizycznych i duchowych, nieumęczonej ruchliwości, „wysiłków wprost tytanicznych", że osłabiały go krwotoki hemoroidalne; że był niewiarogodnie wrażliwy na zimno, i przy lekkim chłodzie w pokoju „chuchał w palce i dzwonił zębami". Ale w Konstantynopolu, gdy „żył ideą", mając lat 57, jeździł konno jak młodzieniec, odżywiał się bylejak, spał w namiocie na materacu, ułożonym na mokrej ziemi, przykryty jednym płaszczem. Offenberg ustalił, że Mickiewicz miał 164 cm wzrostu, ręce i stopy małe, mocną budowę ciała, acz pochodził zapewne z rodziny gruźlików, niedługowiecznej; że był barczysty, o bardzo gęstych czarnych włosach, po pięćdziesiątce już zupełnie białych, że wywierał „niepospolite wrażenie wyrazem twarzy i postawą", że bardzo możliwe, cierpiał na coś w rodzaju padaczki, jak Napoleon albo Dostojewski, że nie chciał się nigdy leczyć, a nadużywał tytoniu i czarnej kawy — nawiasem mówiąc, dał jej przepis w „Panu Tadeuszu": kawa musi mieć „czarność węgla, przejrzystość bursztynu, zapach mokki i gęstość miodowego płynu"... Słowem broszura dra Offenberga jest może nie tyle źródłem ile cennym przyczynkiem do „typologii" i „charakterologii" ściśle naukowej, bynajmniej nie anegdotycznej, genialnego poety.

Otóż wydaje się, że p. Zygmunt Sitnicki, który, jak oświadcza na wstępie, pisze obszerną pracę naukową na temat powyższy, powinien uwzględnić wyniki badań dra Offenberga. Tymczasem nic o nich nie wspomina, chociaż Offenberg przytacza np. tak ważne źródło do poznania „konstytucji" psycho - fizycznej Mickiewicza, jak świadectwo lekarskie, wystawione mu w Kownie w 1823 przez dra Kowalskiego — tj. właśnie w tych jego latach młodzieńczych, które przede wszystkim interesują p. Sitnickiego. Natomiast za doniosły dowód uważa wypowiedź Odyńca o wypadku, jakiemu uległ Mickiewicz w dzieciństwie, spadając z okna. Wypadek zdarzył się, oczywista, i Mickiewicz sam o nim wspomina w inwokacji do „Pana Tadeusza", i dr Offenberg omawia go również jako „niezbyt silny wstrząs mózgu": dom Mickiewicza w Nowogródku był przecie parterowy. Ale Odyniec, gdy pisał swe wspomnienia na starość, lubił, jak wiemy, koloryzować; przedstawia więc ozdrowienie Mickiewicza jako cud; ponadto w jego relacji znajduje się następujące zdanie: po wypadku pozostało Mickiewiczowi „lekkie spleczenie", które go nie tylko nie szpeci, ale owszem, nadaje mu jakiś szczególny, odróżniający go wdzięk w ruchach, a mianowicie w chodzeniu". Opierając się na tym świadectwie Odyńca, p. Sitnicki wnioskuje nieodwołalnie, że Mickiewicz dotknięty był „niedomogą fizyczną", mianowicie był „kulawy", stąd już dalszy, potrzebny p. Sitnickiemu wywód, że ułomność ta wytworzyła w młodym Mickiewiczu „kompleks niepełnowartości" itd. itd. Offenberg nic nie wspomina o kulawości Mickiewicza, a na pewno by to zrobił, gdyby tak było. Przeciwnie, z hasania konno Mickiewicza w 57 roku życia, z jego „niepospolitej postawy", należałoby wnosić, że kaleką nie był, kulawość bowiem, to największe upośledzenie nogi ludzkiej, większe od chromania i utykania.

Skąd p. Sitnicki wziął tę kulawość wieszcza? To jest ciekawe. Bo, jakeśmy rzekli, badania charakterologiczne są pouczające, jeśli się w nich nie dochodzi do przesady. P. Sitnicki słowa „lekkie spleczenie" interpretuje jako kulawość. Spleczenie jest słowem mało używanym, częściej w odniesieniu do koni niż do ludzi. Spleczenie albo wypleczenie pochodzi od słowa plecy; polega mianowicie na wybiciu sobie łopatki ze stawu, jest wykręceniem stawu barkowego. Gdy koń się spleczy albo wypleczy, kuleje istotnie, bo ma cztery nogi, i jego przednie nogi zależą w ruchach właśnie od łopatek, od barku, który u konia stanowi część przedniej nogi od kolana do łopatki.

U człowieka z łopatką i barkiem połączone są ręce nie nogi; Mickiewicz, padając z okna, mógł upaść na wznak i nadwyrężyć sobie łopatkę. Mógł mieć z tego powodu jedną łopatkę niższą, i to mogło mu, jak pisze Odyniec, nadawać szczególny wdzięk w ruchach, nawet w chodzeniu. Ale kulałby po wypleczeniu tylko wówczas, gdyby chodził na czworakach. Tego z pewnością nie robił. Chyba tylko wtedy, gdy udawał, jak to wiemy z jego życiorysu, konika, aby zabawiać swe dzieci, które bardzo kochał.

Poza tym, zdaje się, że kulawość trudno nazwać wdziękiem, nawet przy tym bałwochwalczym uwielbieniu, jakie zacny Odyniec żywił dla Mickiewicza.

Jerzy Wyszomirski

# JAK TO BYŁO W WARSZAWIE I „NA WSI"

## kiedy jeździło się na wakacje do dziadzi na Mokotów

W rzędzie kamieniczek, które — jak Feniks z popiołów — odrodziły się na Nowym Świecie, wiernie skopiowane z epoki, w której ta ulica stawała się „pryncypalną arterią" Warszawy, znalazł się dom, w którym spędziłem kilka lat swego dzieciństwa. Dom lat dziecięcych!...

Gdym stanął przed tą pamiątkową dla mnie kamieniczką, ogarnęło mnie wzruszenie, żywo przypominające radosne uniesienie dziecka, które po raz pierwszy tu przyprowadzone usłyszało z ust matki ,czy ojca słowa:

— To jest nasz dom!

„Nasz dom" — to znaczyło dom, w którym mieliśmy zamieszkać. I wtedy — jak dziś — dom ten był po letnim remoncie. Miał on jakiś nieokreślony kolor pomalowaną swą „frontową fasadę", odświeżoną bramę, jasną klatkę schodową, z której wchodziło się do miłego — dla dzieci wszystko jest miłe, co nowe — dwupokojowego mieszkania z alkową, przedpokojem i kuchnią. Mieszkanie całe — jak dom z wierzchu — było również odremontowane — biła, śnieżna biel z jego sufitów, jaśniały ściany, drzwi i okna. Skrzyły się świeżo wymyte szyby, „jaśniej słońca" lustrzyły się wywiórkowane i wyfroterowane podłogi. Unosiła się wszędzie jeszcze wilgoć z murów i świeżość farb, a po pustych kątach panowała tu obcość.

Wszystko jednak ustępowało szybko, gdy „nasz dom" meblami wypełniony, nasyciły znowu, znane z poprzedniego domu zapachy kuchenne, gdy każde z nas — rodzice i dzieci — znalazło swoje miejsce przy stole i swój kąt w którymś pokoju. Gdybym dziś znalazł się znowu w tym mieszkaniu, choć to prawie sześćdziesiąt lat minęło, odnalazłbym znów z łatwością swoje dawne miejsce i swój kąt, ale... czy odnalazłbym w nim siebie?...

### W „MOIM DOMU"

Nowy Świat przed schyłkiem XIX wieku dla mnie i dla moich rówieśników przez kilka lat dzieciństwa był nie tylko n o w y m, ale i c a ł y m ś w i a t e m... Ojciec od wczesnego ranka do późnej nocy zajęty pracą zarobkową i matka krzątająca się bezustanku koło gospodarstwa domowego, nie mieli czasu na to, aby wprowadzić mnie w i n n y ś w i a t. Rzadko zdarzał się taki dzień, w którym matka znajdowała wolną godzinkę, aby pójść z dziećmi na pobliski skwerek (skwerek ogródka na rogu Nowego Światu i Alei Jerozolimskiej). W Aleje Ujazdowskie chodziliśmy z rodzicami raz — dwa razy do roku: na Wielkanoc, gdy na „Ujazdowie" — w dzisiejszym parku Ujazdowskim urządzano „zabawy ludowe" lub w jakiś bardzo skwarny dzień letni, gdy w nagrodę za dobre sprawowanie lub postępy w naukach zapowiadaną od dawna mieliśmy wycieczkę do Łazienek. Była to wtedy cała wyprawa. Wychodziliśmy o 8 rano z koszyczkiem lub zawiniątkiem w którym matka pakowała do każdego po kilka kromek chleba, butelkę mleka, lub białej kawy. Po drodze w Alejach kupowano dzieciom obwarzanki „u Turka", lub pierniki miętowe Wróblewskiego przy starym zdroju z wodą źródlaną w Łazienkach. Wzamian za taką majówkę musieliśmy się godzić z losem, gdy rodzice w Zielone Świątki wybierali się sami na Bielany lub na Saską Kępę, dokąd nie brano dzieci, bo to było „bardzo daleko", albo w Dzień Zaduszny na Powązki, na które dzieci chodziły tylko wówczas, gdy stawały się sierotami. Poza tym do rytuału domowego należało: coniedzielne wyprawy z rodzicami do najbliższego kościoła, zwiedzenie kilku najbliższych świątyń w czasie „Grobów" i wielkanocna „Rezurekcja", na którą prowadzono dzieci do Fary, aby zobaczyć arcybiskupa.

Lubo Nowy Świat był śródmieściem — niejako sercem Warszawy — rzadko w dawnych czasach wychodziło się poza jego obręb. Wylatało się z domu na polecenie matki „do sklepiku" w tym lub sąsiednim domu, na zapuszczanie się w dalsze „regiony miasta" nie pozwalano dzieciom, aby nie wpadły pod koła dorożki lub pod konny tramwaj przy przechodzeniu jezdni. Straszyło się przy tym dzieci obawą, iż może jaki „złodziejaszek" zdjąć ubranko, lub że mogą je porwać cygani i zaprowadzić do Baby Jagi, czyhającej za każdym węgłem ulicy.

### „ZA DALEKO"...

Dopóki Warszawa, nie otrzymała tramwajów elektrycznych i autobusów, pojęcie przestrzeni było inne, niż dziś. Przejście z jednej dzielnicy do drugiej było całą wyprawą, dojazd do rogatek — podróżą, a wydostanie się za rogatki — epopeją, która długo pozostawała w pamięci.

Gdy w mojej młodości umarła mi jedna z ciotek, zamieszkała w okolicach dzisiejszej ulicy Emilii Plater, a pogrzeb jej odbyć się miał na „Koszykach", gdzie jeszcze był cmentarz przy kościele św. Piotra i Pawła ,rodzice zdecydowali, że dla dzieci z Nowego Światu to „daleka droga". Obiecano zabrać nas wzamian w najbliższą niedzielę do Saskiego Ogrodu, na pierniczki, sprzedawane przy „wodzie mineralnej". Poza szczupłym mieszkaniem względną swobodę ruchów zapewniało jedynie podwórko, na którym pozwalano się bawić z innymi dziećmi.



Rys. St. Rozwadowski

*W Aleje Ujazdowskie chodziliśmy z rodzicami raz — dwa razy do roku..*

### PODWÓRZE I JEGO PODNIETY

Był to rubikon, którego dzieciom warszawskim długo nie było wolno przekraczać. I to nie całe, a jedynie jego skrawek — ta część którą matka mogła widzieć z okien, nie tracić z oczu bawiących się z rówieśnikami dzieci.

Podwórko było terenem, na którym dziecko mogło poznawać świat i ludzi — uczyć się „savoir vivre'u", obcować z ludźmi obcymi — z dozorcą, z handlarzem ulicznym lub z przekupką. Rozrywką był kataryniarz, atrakcją — śmieciarz, rewelacją — mechaniczne oczyszczanie po dworzowej kloaki przez przedsiębiorstwo koncesjonowane Bergera. Kalejdoskop osób, przewijających się przez warszawskie podwórko, pozwalał na poznawanie typów ludzkich i dopełnienie znajomości... językoznawczych, w jak najszerszym zakresie, którego nie mogło dostarczyć koło rodzinne. Poza tym podwórko było terenem.. wychowania fizycznego — sportowym boiskiem, na którym poznawało się arkana popularnych wówczas gier: piłki, palanta i klipy, obok zabawy: w „Czarwonego luda", w „klasy" i w... guziki, „mońcami" zwane, jako, że zastępowały monetę, na podwórku kurs mająca. Dla tych ostatnich gier opanowywało się zazwyczaj wnętrze bramy o niezarośniętej chwastami powierzchni, bo na niej łatwiej było rysować kredą linie graniczne „klas" i wymierzać sprawiedliwiej odległości między guzikami, nie mówiąc już o tym, że i gra w klipę na twardej ograniczonej powierzchni była bardziej... klasyczna, a wnęka bramy chroniła zawodników przed okiem matek, gdy trzeba było „mońce" obrywać od najniezbędniejszych części garderoby. W bramie również dokonywało się intymnych tranzakcji wymiennych znaczków pocztowych na stalki.

Utrapienie, jakie miały matki z tymi zabawami podwórzowymi swoich jedynaków, było niczym z tą rozpaczą, w jaką wpadały poczciwe matczyska, gdy zdarzała się okazja wysłania dzieci na wakacje.

Na letnie mieszkania za miasto jeździły tylko dzieci zamożnych rodziców. Z uboższych do szczęśliwców należeli ci, których krewni zapraszali na wieś.

Takim „dzieckiem szczęścia" był piszący te słowa.

### WCZASY WAKACYJNE

Dziadkowie moi dzierżawili ogród owocowo-warzywny z kawałkiem pola w... Mokotowie, przy dzisiejszej ulicy Rakowieckiej, gdy nie nosiła ona jeszcze tej nazwy i zabudowana była drewnianymi dworkami między cienistymi ogrodami i skąpymi poletkami warzywnymi. Obok ciągnęło się pole Mokotowskie, stanowiące znakomity wygon dla krów i koni. Rozbijało tu ponadto obóz letni wojsko-kozacy, którzy tu odbywali ćwiczenia, zakańczane dorocznymi manewrami. Dostęp przez pole był trudny, i nie zawsze bezpieczny.

Poza tym o odwiedzinach dziadków w czasie świąt Bożego Narodzenia nie mogło być mowy z „powodu zasp śnieżnych", na święta Wielkanocne odstręczała od wyjazdu z Nowego Światu na Mokotów obawa o przeziębienie się dzieci „w podróży". Jedynie dogodną porą do odwiedzin było lato, zwłaszcza, że dziadkowie serdecznie zapraszali swe wnuczęta „na całe wakacje szkolne".

Na długo przed wyjazdem w domu rozpoczynały się przygotowania: szyło się dzieciom letnie ubranka, oporządzało bieliznę, naprawiało obuwie. A gdy od wyjazdu wszystko już było gotowe, poczciwe matczysko udzielało jedynakowi ostatnich przestróg i upomnień, przygotowywało „bagaż" i jakąś zakąskę „na drogę" i załzawionymi oczyma ogarniało gotowego do opuszczenia domu rodzinnego marnotrawnego syna, aby następnie wsiąść z nim do tramwaju konnego i odwieźć do rogatki mokotowskiej (przy dzisiejszym Placu Unii Lubelskiej. Tuż za barierą rogatkową czekała już bryczka dziadkowa z jedną z ciotek. Następowało czułe powitanie, po którym matka, usprawiedliwiając się czekającą ją pracą domową, udzielała ostatnich błogosławieństw i powracała tramwajem do domu, jedynak zaś jej „odjeżdżał na wakacje", aby tam do dnia 1 września tęsknić za rodzinnym domem. Po jedynaka, gdy już dość nabarażkował się w dziadkowym ogrodzie, zjawiali się w ostatnią wakacyjną niedzielę rodzice, wynajętą na rogatce bryczką. Radośnie witali odpasionego na wiejskim wikcie i ogorzałego pod mokotowskim słońcem syna, serdecznie dziękowali dziadkom za opiekę, obładowani słojami konfitur i koszykami owoców i warzyw, uwozili swój skarb do domowych pieleszy.

Bądź grzeczny upominali dziadkowie — a na przyszłe wakacje znowu do nas „na wieś" przyjedziesz.

Wnuczek z żalem żegnał dziadkowe grusze i jabłonki i po wyjściu za opłotki z radością witał zarysowujące się w oddali kontury rodzinnego miasta, oszołomiony ruchem mrowia ludzkiego w Alejach Ujazdowskich i na Nowym Świecie i nabierał dawnej śmiałości, gdy wreszcie znowu znalazł się na domowym podwórku.

Wakacje — wyjazd i powrót z nich długo były przedmiotem rozmów w domu i zazdrości mniej szczęśliwych partnerów od palanta, berka, klipy, czy „mońców". Dobre to były czasy tych wyjazdów „na wieś" — na dzisiejszą ul. Rakowiecką, kiedy się tam bywało na wakacjach „u dziadzi"... Nie dziw, że dziś, gdy przechodzę obok domu na Nowym Świecie, w którym spędzałem swe dzieciństwo, z ciekawością zaglądam w głąb zniszczonego podwórka i szukam na nim bawiących się w „klipę" rówieśników, aby się z nimi znowu wrażeniami podzielić.

Nie znajduję ich — tak, jak i siebie już też nie widzę na tym podwórku. Spotykam czasem jednego z nich w autobusie „P", ale wóz tak szybko mknie do Mokotowa, że nie czas na wspomnienia. Dawne rogatki przy placu Unii Lubelskiej są tylko już symbolem, że tu kiedyś zaczynała się wieś, tak, jak symbolem już tylko jest odbudowany Nowy Świat, który był mi kiedyś całym światem.

I powtarzam sobie za Asnykiem:
„Daremne żale, próżny trud...
— — — — — — — — — — — —
zamarłych kształtów nawet cud
nie wskrzesi do istnienia!"

**KAZIMIERZ POLLACK**

H. Góral i M. Krzywda

# OPŁATEK WE MGLE

Wiatr za oknami szeleścił cichutko, dzwoniąc w szyby drobnymi kroplami deszczu. Gęsta biała mgła spowijała świat, otulając go nieprzeniknionym całunem. Przenikliwy chłód i wilgoć panowały w naszym skromnym pokoju, toteż skupiliśmy się koło małego kominka gazowego, wysyłającego anemiczne promienie cieplne. Milczeliśmy wszyscy, wpatrzeni w błękitne płomyki gazu. Każdy z nas, myśląc o nadchodzących świętach, mimowoli wspominał swych najbliższych, którzy zasiądą wkrótce do wigilijnego stołu, tradycyjnie zasłanego sianem i podzielą się opłatkiem...

Dla nas, trzech lotników polskich, rzuconych losem wojny do Blackpool'u i oczekujących lada chwili rozkazu do startu, gwiazdka 1940 r. nie zapowiadała się wesoło. Pomijając już kwestie uczuciowe, dobijał nas brak tych kilku marnych szylingów potrzebnych do zainicjowania najprymitywniejszych choćby świąt.

Ciszę panującą w pokoju przerwał nagle głośny dzwonek telefonu. Siedzący najbliżej Felek podniósł się ociężale, zdjął słuchawkę, po chwili wymamrotał sakramentalne O. K. i powrócił spokojnie na swoje miejsce, grzejąc swe wielkie stopy, w niezbyt całych skarpetach.

— Kto dzwonił? — zaciekawił się Andrzej.

— Eh, nic ważnego — ziewnął Felek — mamy zameldować się natychmiast u dowódcy!

— Natychmiast? A ty siedzisz i nic nie mówisz — złościł się Andrzej, ale Felek był rozżalony i nie przestawał grzać swych nóg, narzekając na los, który każe mu się włóczyć we mgle i deszczu.

Powlókł się jednak za nami i wspólnie rozpoczęliśmy wędrówkę w gęstej białej mgle, gubiąc co chwila drogę i błądząc po mieście.

— A wiecie — zaczął nagle Andrzej — czuję się zupełnie jak „Pijane dziecko we mgle"!

— Mgła jest, dziecko jesteś, ale dlaczego pijany? Tu można upić się najwyżej, albo mgłą, albo deszczem — warknął Felek, zły na cały świat, Andrzeja, literaturę i Boy'a-Żeleńskiego.

Wpadamy wreszcie nosami na domek dowództwa i wchodzimy do wnętrza. Wita nas miłe ciepło, parujące z kominka i podniesiony głos pułkownika, który złości się z powodu naszego opóźnienia.

— Otrzymałem zaproszenia na wigilię dla żołnierzy i oficerów do paru domów prywatnych. Jutro o godz. 6.30 udacie się we trójkę pod tym adresem — mówiąc to wręczył nam mały świstek papieru.—Proszę starannie się ubrać, ogolić, no i ma się rozumieć — żadnych kawałów. — Popatrzył tak wymownie na Felka, że biedak zaczerwienił się i spuścił oczy, ale natychmiast wtrącił:

— Panie pułkowniku, ale my nie umiemy po angielsku ani be ani me!

— Nic nie szkodzi, — ciągnął pułkownik — dacie sobie jakoś radę tylko proszę zachowywać się grzecznie i unikać alkoholu!

Tym razem popatrzył na Andrzeja, który zmieszany wybąkał:

— A czy nie możnaby zwolnić się z tej służby?

— Nie! — krótko uciął pułkownik. — Jutro 6.30! Dowidzenia!

Wyszliśmy pochmurni i niezadowoleni.

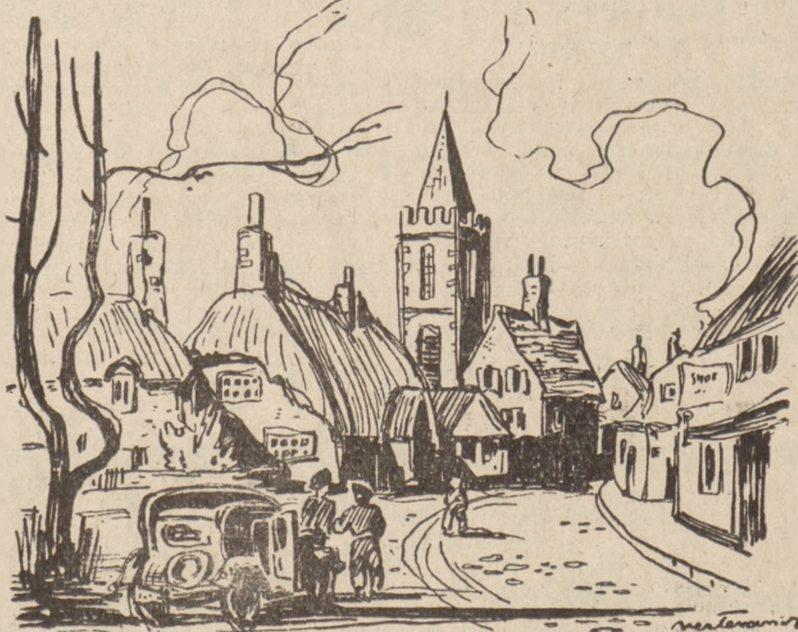
— Cóż u licha—klął swym wolskim akcentem Felek, w który wpadał zawsze, ilekroć był bardzo wzburzony. — W charakterze nianiek mamy występować i cudze dzieci w święta zabawiać? Albo pikolaków odstawiać i stare ciocie obtańcowywać! Ani nie będzie karpia, ani choinki, ani klusek z makiem, na pewno tylko parę parówek z tektury postawią i jeszcze będą się nami dziwować, jakby pawianów, albo jakie inne małpy zobaczyli!

— At — daj spokój — przerwał mu Andrzej — przecież wiesz dobrze, że to wszystko zrobione dla reklamy i propagandy.

Następne popołudnie poświęciliśmy na naprawę naszej garderoby, by wreszcie o godzinie piątej wyruszyć na wigilię do państwa Parkings „luksusowym" samochodem Andrzeja. Z tym samochodem Andrzeja, to była cała długa nawet historia, zbyt wielką jednak rolę odegrał ów wspomniany pojazd w wieczór wigilijny, by można ją opuścić.

Parę tygodni temu, wkrótce po pierwszym, mając jeszcze parę groszy, siedział sobie Andrzej samotnie w barze nad kufelkiem piwa i medytował na ile wódek i piw wystarczy mu owe siedem posiadanych funtów. Ciekawe rozważania przerwał mu jakiś Anglik, który przysiadł się do niego i uprzejmie zaproponował wypicie kufelka piwa. Kelner przyniósł jakieś dwa olbrzymie dzbany, ale Andrzej, tak był zajęty swymi myślami, że wypił swój jednym duszkiem i znów pogrążył się w medytacjach. Wyczyn naszego kolegi wywołał wielki entuzjazm u Anglika, który zaproponował mu oryginalny zakład, a właściwie konkurs — który z nich dwóch wypije szybciej galonowy garnek piwa. Targ w targ, Anglik postawił do puli mocno, jakim sposobem taki gruchot nietylko trzyma się kupy, ale nawet posuwa się z rekordową szybkością piętnastu mil na godzinę. Brak świateł, hamulców, dwóch błotników i lewych drzwiczek nikomu z nas to nie przeszkadza. Grunt, że jedziemy wytwornie i szybko, gorzej tylko, bo właściwie nie wiemy zupełnie dokąd mamy jechać. Po drodze pytam jakiegoś przechodnia o dom Mr. Parkings'a.

Och, to bardzo niedaleko — odpowiada zapytany — proszę jechać 300 yardów, potem skręcić koło baru w lewo, jeszcze 50 yardów, objechać drugi bar i zobaczą panowie duży dom Mr. Parkings'a.



Rys. M. Nesterowicz

*Po godzinnym błądzeniu ujrzeliśmy wreszcie okazały dom.*

swój mocno potłuczony samochód. Jędrek owe siedem funtów, kelner przyniósł dwie konwie piwa i na komendę obaj przeciwnicy zaczęli pić. Andrzej musiał jednak w międzyczasie dobrze sobie wyliczyć, ile za owe siedem funtów można dostać piwa, bo przypiął się tak do dzbanka, że ukończył picie o dwie minuty przed Anglikiem, powiedział zdumionym obserwatorom „Good bay" i wrócił własnym samochodem do domu.

Jedziemy teraz tym cudem techniki XX wieku na wigilię, dziwiąc się

Niewiele zrozumieliśmy z jego informacji, yardy pomyliły się nam z barami, ale po godzinnym błądzeniu ujrzeliśmy wreszcie okazały dom.

— Tylko podjeżdżaj z prawej strony, bo z lewej nie mamy drzwiczek— ostrzega Andrzeja Felek.

— Dobrze — odpowiada Jędrek i zręcznie lawirując po nieprawidłowej stronie jezdni, zajeżdża z fasonem przed ganek.

Jakieś indywiduum we fraku i w białych rękawiczkach (Felek myślał, że to sam gospodarz) wybiega na nasze spotkanie i z galanterją otwiera drzwiczki od samochodu. Otwiera i baranieje ze zdumienia, z szeroko rozdziawionymi ustami. Drzwiczki urwały się z przytrzymujących je sznurków i zostały mu w ręku!

Klnąc Andrzeja i jego samochód wrzucamy drzwiczki do samochodu, uspakajając zdumionego lokaja, że wszystko O. K.!

Po chwili znajdujemy się w rzęsiście oświetlonej sali, wśród niezliczonej ilości Anglików przypatrujących nam się ciekawie.

Wkrótce zasiadamy do stołu. Dostaję honorowe miejsce obok gospodyni, bardzo miłej starszej pani, która stale zwraca się do mnie uprzejmie, wysłuchując w odpowiedzi moje skupione —

— Yes, No, O. K.!

Na tym niestety kończy się moja znajomość języka. Z zaciekawieniem rozglądam się po sali. Jakaś karłowata imitacja choinki stoi pod oknem, jakieś kolorowe lampiony pod sufitem, pozatem chłód, wilgoć i atmosfera przeładowana sztywnym, krępującym nastrojem.

W pewnym momencie gospodyni przysuwa do mnie flakon z podejrzanymi badylami i uśmiecha się przymilnie.

— O nieba! Cóż mam z tym świństwem zrobić? — myślę gorączkowo, wreszcie odbieram od niej flakon, z błogim zachwytem wącham przez chwilę, mówię „Very nice" (bardzo ładne) i stawiam wazon na obrusie.

Przy stole zapanowała konsternacja. Wszystkie oczy zwróciły się na mnie i patrzą z zainteresowaniem. Okazało się po niewczasie, że nie były to żadne kwiaty, tylko poprostu selery w szklance, którymi Anglicy zajadają się z wielkim smakiem.

Tymczasem służba z galanterią zaczęła rozlewać wino, a wkrótce pan domu wzniósł pierwszy oficjalny toast. Nauczony smutnym doświadczeniem obserwuję teraz stale moją sąsiadkę i naśladuję ją we wszystkiem. Ta odpiwszy nieco wina stawia kieliszek na stole. Robię to samo, lecz koledzy moi zbyt pośpiesznie wychylają całą zawartość i są bardzo nieszczęśliwi, bo nikt im kieliszków nie dopełnia i dalsze oficjalne toasty spełniają pustymi naczyniami.

Przebrnęliśmy wreszcie przeszło godzinną kolację, na której co prawda nie było tekturowych parówek, ale i która nie zdołała zaspokoić apetytu naszego Felka. Tymczasem gospodyni zapomniała na szczęście o mnie i zajęła się Andrzejem, który siedząc obok niej na kanapce na próżno ukrywał zabrudzone przy samochodzie ręce.

Nie upłynęło jednak pięć minut, gdy gospodyni zaczerwieniła się gwałtownie, obrzuciła Jędrka przeszywającym spojrzeniem i majestatycznie odeszła. Biedny porzucony Andrzej schronił się pod nasze skrzydła opiekuńcze z bardzo zafrasowaną miną.

— Czemżeś ty ją obraził? — pytam zaciekawiony.

— Dalibóg nie wiem. Widzisz, ona prawie cały czas starała się nauczyć mnie cokolwiek angielskiego, więc wreszcie chciałem powiedzieć jej coś przyjemnego...

— No i co powiedziałeś — przerwał mu Felek.

— Że uczyć mnie jest bardzo cierpliwa. — Nareszcie zaczynam wszystko rozumieć. Biedny Andrzejek pomylił prawie jednakowo brzmiące dwa angielskie słowa i ze spokojem oświadczył pani domu, która niewątpliwie przekroczyła pięćdziesiątkę, że jest bardzo namiętna!

Skonsternowany Andrzej pobiegł do niej natychmiast, a po chwili wyjaśnień, zasiedli znów na kanapie, by kontynuować swą lekcję.

— Wiesz co, — zwrócił się do mnie Felek, — chodź, ulotnimy się teraz do domu. A że jesteśmy w Anglii, zrobimy to po angielsku. Mam w domu jeszcze kawałek opłatka, pudełko sardynek i butelkę whisky.

— A co zrobimy z Andrzejem?

— Kiedy on taki namiętny do nauki, to niech się męczy — mruczy Felek, jednak po chwili żal mu się zrobiło kolegi, więc dyskretnie daje mu znaki do wyjścia.

Po chwili, z trudem uruchomiwszy naszą sędziwą limuzynę, pędzimy wśród oparów białej mgły i przejmującego chłodu. Śpieszymy się do naszego skromnego pokoiku i anemicznego kominka gazowego.

Wiemy, że lepiej się będziemy czuli przy naszej kawalerskiej wigilii, z dala od selerów, bez wina i toastów za króla, bez namiętności i cierpliwości, ale za to z naszym polskim tradycyjnym opłatkiem.

---

## Okręgowy Oddział Włók. «Społem» w Bydgoszczy

W samym sercu Bydgoszczy, bo przy zbiegu ulicy Dworcowej z Aleją 1-go Maja, dobiega końca kapitalny remont 4-piętrowego gmachu. W gmachu tym jeszcze w tym roku znajdą pomieszczenie biura i magazyny Okręgowego Oddziału Włókienniczego w Bydgoszczy, którego obecnie tymczasowa siedziba mieści się przy ul. Alei 1-go Maja Nr 10.

Okręgowy Oddział Włókienniczy w Bydgoszczy zorganizowany został w marcu 1946 roku. W okresie 19-tu miesięcy swego istnienia, t. j. od marca 1946 roku do końca września r. b. Oddział w akcjach komercyjnych, miejskiej i wiejskiej oraz w towarach reglamentowanych rozprowadzał w okręgu: materiałów bawełnianych — 4.000.800 mtr., materiałów wełnianych 900.000 mtr., artykułów dziewiarsko-pończoszniczych 1.200.0000 sztuk, artykułów konfekcyjnych 450.000 szt. i obuwia 150.000 par.

By dotrzeć do odbiorcy, Kierownictwo Oddziału musiało zorganizować odpowiednią sieć placówek hurtowych i detalicznych. W tym celu stworzono hurtowe działy tekstylne przy wszystkich 18-tu powiatowych oddziałach „Społem", uruchomiono Rejonową Hurtownię Tekstylną przy Oddziale „Społem" w Toruniu oraz doprowadzono do otwarcia 274 punktów sprzedaży detalicznej przy spółdzielniach na terenie całego województwa. Są to bądź specjalne sklepy branżowe, bądź też działy tekstylne przy sklepach spożywczo - kolonialnych lub spółdzielczych domach towarowych.

Jeżeli chodzi o akcję interwencyjną na odcinku cen, to Okręgowy Oddział Włókienniczy w Bydgoszczy spełnia swoją rolę w sposób stanowczy i niezawodny. Dało się to kilkakrotnie zauważyć na miejscowym rynku zarówno w zakresie obniżki cen na artykuły włókiennicze, jak i — zasilanie tego rynku w potrzebny asortyment towarów.

Oddział zatrudnia w tej chwili 50-ciu pracowników .Kwalifikacje fachowe i ofiarna praca tego doborowego zespołu pracowników dały dotychczasowe osiągnięcia Oddziału, stwarzając tym samym podstawy do dalszego rozwoju. (a.)

# NIEZWYKLI SPRZEDAWCY



**Najdowcipniejsza kobieta w Polsce — Magdalena Samozwaniec.**

Niecodzienną atrakcją dla miłośników książek była gwiazdkowa sprzedaż książek przez autorów. Impreza ta zorganizowana w Warszawie przez firmę „Awir" wzbudziła ogromne zainteresowanie, zwłaszcza wśród młodzieży, która po zajęciach szkolnych tłumnie przychodziła, aby zobaczyć popularnych: Meissnera, Wiecha, Morcinka i innych autorów, którzy stali za ladą sklepową.

Wielu czytelników dziwiło się widząc poważnego, szpakowatego już nieco **Wiecha**, którego na podstawie sylwetek jego bohaterów: Wątróbki, Piecyka i Piekutoszczaka — wyobrażali sobie zapewne inaczej. A warszawiakom nie trzeba tłumaczyć kim jest Wiech. Jego żywe i pełne dowcipu felietony, w których daje obraz życia sfery drobnomieszczańskiej i robotniczej zebrane w tomie p. t. „Spacerkiem przez Poniatowszczaka" znane są wielu czytelnikom. Nie mniej humoru znaleźć można w powieści jego „Café pod Minogą".

Najwięcej powodzenia miał **Janusz Meissner** autor „Żądła Genowefy", „L — jak Lucy", „Na afrykańskim szlaku", „Skrzydeł nad Arktykiem", „Pilota gwiaździstego znaku" i innych. Niektóre swoje powieści wyprzedał już Meissner pierwszego zaraz dnia sprzedaży.

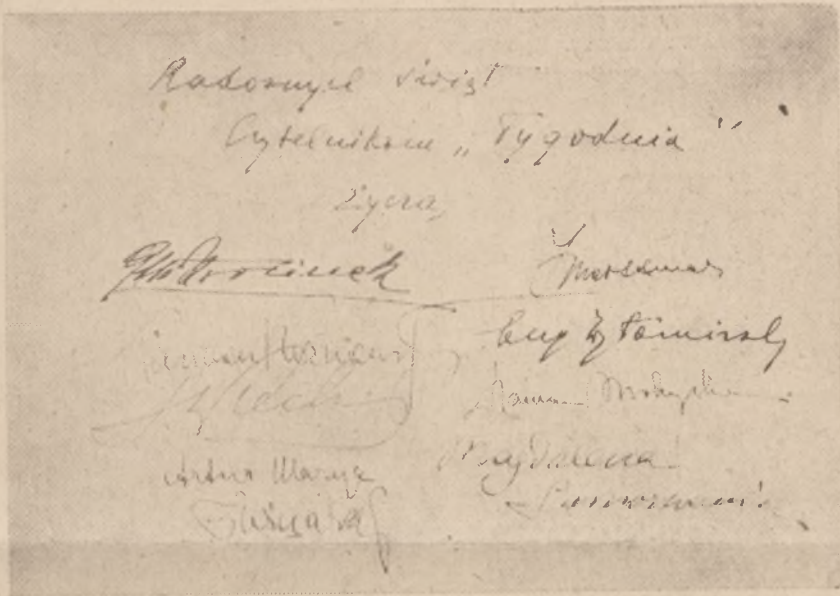
**Gustaw Morcinek** to pisarz, który „odkrył" dla Polski Śląsk — syn śląskiej ziemi — zna wartość osobową i społeczną górnika, którego uczynił bohaterem prawie wszystkich swoich opowiadań. Jego książki: „Zagubione klucze" i „Serce za tamą" miały również chętnych nabywców.

**Kazimierz Koźniewski** to młody pisarz, który szczęśliwie zadebiutował sensacyjną książką „Szczotka do butów".

**Eugeniusz Żytomierski** znany nam był dotychczas jako autor i kompozytor szeregu wierszy i pieśni, z których najbardziej znaną była: „Ukochana, ja wrócę".

Podróż jego do Stanów Zjednoczonych A. P. dała mu tematy do reportaży zebranych w tomie „Ameryka in fla granti" odznaczających się bystrością obserwacji i umiejętnością oceny zjawisk.

Ażeby już wyczerpać pisarzy „płci męskiej" wymienić należy **Artura Marię Świnarskiego**, autora „Pamfletów, parodii i paradoksów", jak również książek dla dzieci („Odwiedziny smoka").




**Popularni autorzy składają życzenia świąteczne naszym Czytelnikom. Podpisali od lewej: G. Morcinek, J. Meissner, K. Koźniewski, E. Żytomierski, Wiech, H. Mokrzycka, Artur M. Świnarski, Magdalena Samozwaniec.**



**Hanna Mokrzycka popularna autorka książek dla dzieci.**

„Płeć piękną" reprezentowały: Hanna Mokrzycka, Magdalena Samozwaniec i Irena Krzywicka.

Młode mamusie odwiedzały najczęściej sympatyczną **Hannę Mokrzycką** by kupić dla swych pociech popularne jej książeczki: „Feliks — Król Wiewiórek", „Cyrk u Gąsek", „Kaczka — Kwaczka" i „Pensjonat na sośnie".

Nie mniejsze powodzenie miała **Magdalena Samozwaniec** mająca sławę najdowcipniejszej kobiety w Polsce. Jej książka „Na ustach grzechu" rozeszła się przed wojną w 50.000 egzemplarzy.

Obecnie ukazało się ósme wydanie, które obok drugiej jej książki „Tylko dla kobiet" znajdowało, liczne nabywczynie wśród pań.

Autorka „Tajemnej przemocy" **Irena Krzywicka** kończy tę grupę „gwiazdkowych ekspedientów".

Cała impreza była dobrze zorganizowana i odniosła swój efekt. Zbliżyła bowiem czytelników z autorami, temi „zawoalowanymi" dotychczas postaciami i przyczyniła się do popularyzacji książek i autorów.

Mamy nadzieję, że w roku przyszłym tego rodzaju imprezy zorganizują wszystkie firmy wydawnicze, zwłaszcza spółdzielcze i to nie tylko w stolicy, ale i w innych większych miastach Polski.



**Meissner podpisuje książkę jednej z licznych swoich klientek, obok stoi Artur Maria Świnarski.**



**Irena Krzywicka**



**Stefan Wiechecki zwany popularnie Wiechem**



**„Trzy asy", od lewej: Żytomierski, Meissner i Morcinek**

**Józef Bartosik**




# JESTEM

*Fragment z książki kpt. mar. woj. Józefa Bartosika, która ukaże się niebawem pod tytułem „Wierny Okręt", nakładem Instytutu Wydawniczego „Kolumna"*

Państwa totalne wypowiadały wojnę z teatralną okazałością, wśród bicia dzwonów. Histeryzujące pokrzykiwania wodza Rzeszy i imperatorski patos z balkonu Palazzo di Venezia wprawiały w zbiorową ekstazę nieprzeliczone szeregi czarnych i brązowych koszul, tysiączne czworoboki milicjantów, miliony mundurów. Wojujący faszyzm i nazizm świętowały swój tryumf przed bitwą.

Anglia przyjęła wojnę ze smutną powagą ,jak dopust Boży. W postawie jej społeczeństwa nie było cienia fanatyzmu. Raczej jakby skupienie kogoś, kto zbiera siły do odparowania straszliwego ciosu. Ciosu, o którym się wie, że jeżeli dosięgnie — będzie śmiertelny.

Latem 1940 roku nad wyspami Brytyjskimi zawisła złowroga cisza. Dzień po dniu i noc po nocy ,po wszystkich wsiach i miasteczkach, nasłuchiwano odgłosu kościelnych dzwonów. Milczały one od kilku miesięcy. Ponowne ich odezwanie się miało być sygnałem, że nieprzyjaciel ruszył, że wylądował na plażach i posuwa się naprzód ,mordując i paląc. Ziemia, która od tysiąca lat nie zaznała najazdu, czekała gotowa do walki o każdy próg.

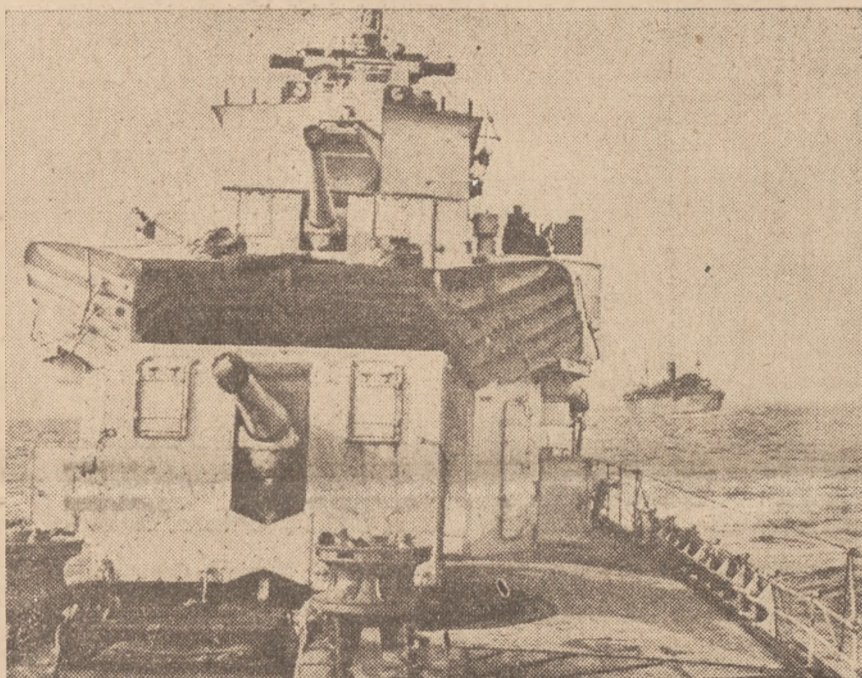
Życie codzienne ogarnął nastrój czujności i ostrożności. W autobusach, kolejach, urzędach, wszędzie porozwieszano obrazki przedstawiające Hitlera, lub Goeringa, podsłuchujących zza firanki, lub wystawiających długie, ośle uszy spod stołu. Duże, czerwone napisy przestrzegały przed lekkomyślnym plotkowaniem, które może kosztować niejedno życie ludzkie. („Careless talks cost lives"!) Z ust do ust, krążyły wieści o zabłąkanych niemieckich spadochroniarzach, pukających po nocach do drzwi. Każdy niepewny akcent był podejrzany, w każdym obcokrajowcu krył się potencjalny szpieg.

Wiosną 1940 roku doświadczyłem na sobie skutków tego nastroju. Było to na kilka dni przed niemiecką inwazją Norwegii. Okręty nasze stacjonowały w Harwich, małym porcie, położonym na wschodnim wybrzeżu Anglii, około sto mil na północ od ujścia Tamizy. Dywizjon polski, obejmujący trzy okręty, wchodził wtedy w skład angielskiej flotylli kontrtorpedowców. Flotyllę tę nazwano „pierwszą". I słusznie, wyznaczono jej bowiem najbardziej eksponowaną, najbliższą w stosunku do nieprzyjaciela pozycję. Niemcy różnymi sposobami starali się ją sparaliżować, szczególnie przy pomocy min magnetycznych. Była to nowa, „tajemnicza broń", bardzo dla nas niemiła. Przeciwko niej nie mieliśmy na razie żadnego środka obrony. W tych warunkach „wychodzenie na morze było po prostu liczeniem na szczęście.

Którejś niedzieli samolot wywiadowczy przysłał nam depeszę, że widzi dwa nieprzyjacielskie krążowniki. Pozycja ich wypadała pod brzegiem Holandii. W chwili zauważenia płynęła kursem na zachód. Podnieśliśmy natychmiast parę. W pół godziny po otrzymaniu depeszy nasza flotylla odkotwiczyła.

Wyciągnięte w pojedyńczy szyk torowy okręty, przemykały się jeden za drugim, ciasnym, długim kanałem Mijaliśmy właśnie miejscową promenadę nadmorską, gdy tuż przed nami buchnął oślepiający słup ognia. Kłęby dymu i szarpanina eksplozji zasłoniły świat. Na bruk promenady posypały się szyby. Dokoła nas z gwizdem opadły na wodę ciemne przedmioty. Były to resztki brytyjskiego kontrtorpedowca H.M.S. „Gipsy". Wyleciał on w powietrze niecałe dwieście metrów przed naszym dziobem.

Gdy wracaliśmy z pościgu, obie połowy wraka odciągnięto już na boki kanału. Leżały teraz każda po innej stronie, tworząc ciasne, wytyczone boj kami gardło. Od tego dnia poczynając, przeciskaliśmy się przez nie przy każdym wyjściu na morze. Osmalone kikuty dział i poprute blachy kadłuba sterczały ku nam z obu burt, jak groźne memento.



**Okręt polski „Garland".**

Niezwłocznie po podaniu łańcucha na beczkę przystąpiliśmy do sprawdzania dalmierza. Jest to instrument czuły na wstrząsy, a jednocześnie niesłychanie ważny w boju. Od jego pracy zależy w dużej mierze dokładność całego strzelania.

Oficer nawigacyjny, nazywany w gwarze okrętowej z angielska „pajlotem", długo szperał lornetką po gołych krawędziach okolicznych wzgórz. Potem coś cyrklem odmierzył na mapie, wykreślił jakieś kąty, wreszcie obwieścił wyrok. Udało mu się zidentyfikować dwa przedmioty: komin fabryczny i wieżę kościelną. Na tym pustkowiu był to tryumf nielada. Rozpoczęliśmy natychmiast pomiary. Już pierwsze jednak wskazania dały wynik horendalny. Błędy były tak olbrzymie, że trudno było w nie uwierzyć. Zawołano na pomost specjalnych, doborowych operatorów. Ku naszemu rozczarowaniu potwierdzili oni tylko poprzednie pomiary. Chcąc nie chcąc, zaczęliśmy powątpiewać w nieomylność „pajlota". On tymczasem, jak wszyscy zresztą nawigacyjni, nawet słuchać nie chciał podobnej herezji.

— Pojedźcie zapytać tubylców, jeśli mi nie wierzycie! — odparował z miejsca.

Nie było rady. Pozostało pójść w ślady świętego Tomasza i przekonać się o wszystkim naocznie.

Następnego dnia, skoro świt, pojechałem motorówką na ląd. Zabrałem ze sobą mapę, zwiniętą w długi rulon i nieodłącznego towarzysza wycieczek — aparat fotograficzny. Pech przy tym zdarzył, że go schowałem pod płaszcz. Chciałem po prostu uniknąć podejrzliwych spojrzeń.

Od przystani do wspomnianego kościoła dzieliła mnie przestrzeń około jedenastu kilometrów Przede mną wiła się wąska i — jak wszędzie w Anglii — asfaltowa szosa. Prowadziła ona przez mało uczęszczaną okolicę, pozbawioną połączeń autobusowych i kolei. Rad nie rad, piechotą ruszyłem przed siebie. Marsz ten był mi nie na rękę. Okręty flotylli stały w dwudzinnym pogotowiu, istniała przy tym możliwość, że pod wieczór wyjedziemy na morze.

Dzień był wietrzny i zimny. Uszedłem już pewnie jakieś trzy kilometry, gdy nagle usłyszałem za sobą klakson samochodu. Odezwał się kilkakrotnie. Nie ulegało wątpliwości, że sygnalizował do mnie. Gdy auto podjechało na moją wysokość, przez uchylone drzwi skinął ku mnie zapraszająco, starannie ubrany, młody mężczyzna. Oświadczył, że jedzie do Maningtree i — o ile mi to właśnie na rękę — może mnie podwieźć. Gdy sadowiłem się obok niego, na przednim siedzeniu, zapewnił mnie, że dla marynarza zrobi wszystko:

— Everything for the Navy!

Uprzejmy ów Anglik miał na głowie krótko przystrzyżone włosy, obficie połyskujące brylantyną. Bez ogródek zwierzył mi się, że jest inspektorem tajnej policji królewskiej i że jedzie właśnie do Maningtree, gdzie wczoraj popełniono tajemnicze morderstwo. Z zapału, z jakim opowiadał szczegóły tej tragedii, biła emocja i prawdziwe rozkochanie w swoim zawodzie.

Co do mnie, starałem się mówić jak najmniej. Chciałem się przekonać, ile upłynie czasu, zanim młody inspektor domyśli się, że jestem obcokrajowcem. Była to świetna zabawa.

Droga nasza prowadziła tymczasem wzdłuż rzeki. W pewnym momencie osiągnęliśmy najwyższe wzniesienie w okolicy. Roztaczał się stąd wspaniały widok na dalekie lasy i wzgórza, przede wszystkim zaś na dolinę rzeki i morze. Pod wrażeniem piękna przyrody, zapomniałem na chwilę o zabawie. Zupełnie wówczas niechcący wyrwała mi się uwaga na temat malowniczości hrabstwa Essex. I to mnie zdradziło. Trafiłem bowiem, jak kula w płot, Essex bowiem rozciągał się po drugiej stronie rzeki, tutaj natomiast był Suffolk. Zauważyłem, jak mój dobroczyńca odsunął się nagle ode mnie. W inspektorskich jego oczach błysnęło mrożące krew w żyłach — odkrycie.

Od tej chwili rozmowa nasza nie kleiła się. Nawet przerwała się, jakby nożem uciął. Odetchnąłem więc z ulgą, gdy spoza wzgórza wyłoniły się nareszcie zarysy wieży kościelnej, dla której tu przybyłem.

— To jest kościół w Holbrook, prawda? — powiedziałem pewny siebie.

Pytanie moje przygwoździło inspektora do reszty. Popatrzył na mnie jeszcze bardziej badawczo, niż przedtem. Dopiero po chwili dodał szeptem, jakby się zmuszał do odpowiedzi wbrew własnemu przekonaniu:

— Nie, to nie kościół, tylko wielkie koszary marynarki. I największa w Anglii szkoła podoficerska. Tysiące chłopców szkoli się tutaj, aby w przyszłości zostać szefami, bosmanami, sternikami. Dziwię się, że pan o tym nie wie.

Istotnie, tym razem i ja się zdziwiłem. Objijając się od kilku miesięcy po różnych instytucjach szkolnych angielskiej marynarki, ani razu nie spotkałem się z miejscową nazwą. Zresztą dlaczego nie było jej na mapie, oficjalnym wydaniu admiralicji.

— Popatrz pan! — powiedziałem, rozwijając oznaczony koroną królewską rulon tuż przed oczyma kierowcy. I żeby lepiej zaznaczyć miejsce, sięgnąłem do kieszeni po ołówek. Zauważyłem, że wzrok Anglika, jak skamieniały utknął gdzieś na wysokości dolnej klapy mojego munduru. Spod uchylonej poły gabardiny beztrosko lśniła tam płaska, metalowa obsada, opatrzona pośrodku wielkim, inkrustowanym napisem — Voigtländer.

Ołówek mój był niepotrzebny. Zanim zdołałem go wyjąć, Anglik nerwowym ruchem osadził samochód na miejscu, twierdząc, że coś jest nie w porządku z silnikiem.

— Pewnie znowu karburator!

— Byłem jeszcze jedną nogą w samochodzie, gdy silnik raptem warknął na cały regulator. Na to inspektor dał od razu drapaka, i to w takim pośpiechu, że nie zdążył nawet drzwi za mną zamknąć. Fruwały z daleka jak połamane skrzydła.

Gwałtowne to rozstanie sprawiło trochę nienaturalne wrażenie. Ostatecznie jednak pocieszyłem się myślą, że Anglia jest starym krajem, w którym dziwaków nie brak.

Do wieży miałem niedaleko. Skierowałem się wprost na nią. W miarę, jak się zbliżałem, spoza zieleni ogrodów wyłoniły się liczne zabudowania. Skonstruowane z białego kamienia, przypominały swym stylem pałac w Greenwich. Do wnętrza budynku wszedłem przez główną bramę. Błyszczący lakierowanymi getrami war-



**Przerwa południowa na krążowniku polskim „Aragon".**

# SZPIEGIEM

townik ,sprezentował broń. Po drugiej stronie wielkich, oszklonych drzwi, powiało chłodem i mrozem. Naprzeciw wejścia, przez całą długość hallu, spoglądały ku mnie dwie ogromne, marmurowe postacie. Pod jedną z nich widniał napis: Nelson, pod drugą: Colingwood. Gdzieś, w prawo od nich, przed długim rzędem szaf, spacerował oficer dyżurny. Można go było poznać od razu po służbowym jego pasie i uroczystym, miarowym kroku, jakim przemierzał hall. Poprosiłem go o rozmowę z komendantem szkoły. Nie wymagano żadnych formalności, zapytano mnie tylko kim jestem.

— A Polish officer to see you, Sir! — wprowadził mnie oficer flagowy.

W głębi sali, znad samotnego biurka podniosła się siwa głowa. Admirał wstał ,zdjął okulary i zbliżył się, by mnie przywitać. Był to człowiek w istocie niemłody. Z pewnością, jak wielu emerytów, służył teraz ochotniczo na czas wojny. Dźwięk jego słów i szczery uśmiech świadczyły o wielkiej pogodzie ducha. Takiej, jaką odznaczają się zwykle urodzeni przywódcy ludzi, charakterem swym i osobowością wyrastający ponad otoczenie, nie uznający stąd potrzeby obwarowywania swego autorytetu murem sztywnej formalistyki, lub niebosiężną drabiną stopni.

Przedstawiając się zaprodukowałem z miejsca swoją legitymację. Sądziłem, że pieczęć admiralicji pod moją fotografią będzie lepszą rękojmią, niż słowa. Jednocześnie wytłumaczyłem, że potrzebne mi są współrzędne geograficzne wieży, wznoszącej się na terenie szkoły, której niestety nie ma na mapie Gdy opowiadałem o kłopotach z dalmierzami, staruszek ucieszył się. Kiedyś, w swej młodości, był również artylerzystą. O okrętach polskich wiedział wszystko. Mówił, że ma wielki szacunek do Polaków i w ogóle dla Polski. Naturalnie, współrzędne da. o ile sami je na miejscu mają.

Już po kilku minutach oficer flagowy przytaskał cały atlas szkiców i planów To, czego potrzebowałem, znaleźliśmy od razu na pierwszej stronie. Uprzejmy gospodarz sam nanosił południk i równoleżnik wieży na mojej mapie, podczas gdy ja trzymałem zwijający się rulon. Gdy skończyliśmy, admirał zawołał swego zastępcę i poprosił go, aby mnie oprowadził po szkole.

Zastępcą owym był tak zwany po angielsku commander — właściwy kierownik szkoły i bezpośredni jej zarządca. Ten, który w życiu codziennym nad wszystkim w niej czuwa, znając przy tym każdy jej szczegół. Z reguły są to ludzie zalatani, nie mający chwili czasu dla siebie i innych. I może dlatego szorstcy. Jednak mój przewodnik był w tym sensie wyjątkiem. Ani razu nie dał mi poznać, że mu zawadzam, lub śpieszy mu się, pomimo, że zająłem mu kilka długich godzin.

Dowiedziałem się od niego najpierw o historii szkoły. Była ona na wskroś nowoczesną instytucją Jej budowę ukończono na jakieś dwa miesiące przed wstąpieniem Edwarda VII-go na tron. Jako książę Walii przyleciał on wtedy specjalnie na uroczystość jej otwarcia. O wyznaczonej godzinie wylądował na środku placu pomiędzy zgromadzonymi tłumami, zatrzymując samolot tuż przed trybuną.

Wzniesienie szkoły kosztowało olbrzymie sumy. Zato chłopcy mają teraz wszelkie udogodnienia, jakich mogą sobie życzyć Jest więc kryty basen pływacki. tereny do polowania, gry w golfa ,korty tenisowe, jest rzeka i dwa jeziora, na których można uprawiać sport żeglarski. Wszyscy czują się tutaj naprawdę szczęśliwi.

— Very happy! — powtórzył po chwili zadumy commander.

Przy zwiedzaniu baraków okazało się, że każdy blok mieszkalny nosił imię innego admirała brytyjskiego. Był więc i ,Nelson", i „Rodney", i „Jellicoe", i kilka innych bloków. W każdym z nich, w hallu, na honorowym miejscu, wisiał oprawiony w ramki. oryginalny list patrona, zaadresowany do uczniów szkoły. Pomimo nowoczesności budynków, istniała ona lat prze szło dwieście. Dawniej mieściła się w Greenwich. Ale od kilku lat „Ich Lordowskie Moście" postanowiły przenieść ją tutaj.

List Nelsona już prawie wypłowiał, pomimo to jednak można go było odczytać bez trudu. Mówił o tym, jak wielką jest rzeczą w życiu marynarza — charakter. Patrząc na te pisane przed stu pięćdziesięciu laty słowa. od nosiłem wrażenie, że pomiędzy ich wierszami kryje się jeszcze inna, bardziej znamienna prawda Ta mianowicie, że o charakterze Marynarki Wojennej w każdej zresztą wielkiej instytucji decyduje również — tradycja. My w Polsce, musieliśmy niestety wszystko budować od zera. Na morzu musieliśmy niemal że od podstaw — improwizować.

W budynku wykładowym natrafiliśmy na lekcje sterowania. Grupa chłopców, liczących może dwanaście, lub trzynaście lat, ubranych w normalne. marynarskie mundury, z pięknym białym sznurkiem koło szyi, skupiła się właśnie dokoła modelu. Przedstawiał on pomost okrętu z wszystkimi urządzeniami: — kompasem, sterem, rurami głosowymi. Motor elektryczny wprawiał model w rytmiczne kołysanie, wiernie imitujące warunki na morzu.

Któryś z chłopców borykał się w tym czasie z kołem sterowym, goniąc za uciekającą różą kompasu, gdy do sali wszedł — żandarm. Skierował się do mego przewodnika i zasalutował.

— Excuse me — powiedział commander, zabierając przybysza na bok. Rozmawiali z sobą szeptem. Zauważyłem, że źrenice żandarma biegały od czasu do czasu w moją stronę. Co do commandera, nie zgadzał się widocznie z rozmówcą. Wreszcie ręka żandarma poderwała się znowu do daszka, sprężyście — na tempo Ostatecznie wojak zrobił zwrot i odszedł.

Kończyliśmy już zwiedzenie ,gdy w głośnikach szkoły odezwała się trąbka. Był to sygnał. wzywający na posiłek. Commander zaproponował, bym poszedł z nim na obiad.

Mieszkał obok. w służbowej willi. W drzwiach przywitał nas Teddy, ośmioletni jego synek. W hallu gospodarz chciał mi koniecznie pomóc w wydobyciu się z płaszcza. Dobierał się już do mego kołnierza, gdy w świadomości błysnęła mi myśl: — aparat! Po tym co zdarzyło się rano, jak i po wizycie żandarma w szkole, wolałem do ognia podejrzeń nie dolewać już więcej oliwy. Totoż dla zyskania na czasie zainteresowałem się nagle jakimś najzupełniej prozaicznym szczegółem kominka .

— Jakiż stylowy! — podziwiałem go.

Kominek pochodził jednak prosto z fabryki i nie był w stanie przeciągnąć rozmowy dłużej, jak na chwilę. Gdy po raz drugi gospodarz sięgnął do mego kołnierza, olśnił mnie w tym momencie portret jakiegoś dziadka. Ale i jego historia wkrótce się skończyła. Kiedy w końcu po raz trzeci para uprzejmych rąk wyciągnęła się w kierunku mojej wytartej, starej gabardiny — dałem za wygraną. W tej chwili jednak odsiecz przyszła z najbardziej nieoczekiwanego kierunku. Z góry, z mieszkalnego korytarza, zabrzmiał głos pani domu. Prosiła męża, aby przyszedł coś zobaczyć. Gospodarz przeprosił mnie i pobiegł po schodach na górę. Jednym ruchem zerwałem aparat z paska i wsunąłem go do kieszeni. Byłem uratowany!



**Nieprzyjaciel trafiony! Pali się!**

Po miłym, skromnym obiedzie — Anglicy na ogół nie przywiązują do jedzenia tej wagi co na przykład Polacy — po krótkiej zabawie z Teddy, wsiadłem do służbowego auta i pojechałem do portu. Przejeżdżając przez wioskę, zauważyłem większą grupę policjantów. Wyglądali dziwnie zaaferowani, jakby czegoś szukali.

Gdy wysiadałem, w przystani, przy schodni, zawezwana przez commandera sygnałem, czekała już na mnie motorówka.

Na okręcie, oficerowie artylerii z entuzjazmem rzucili się na moje odkrycie. Przeliczone pośpieszne wyniki, dały teraz zupełnie inną odległość. Praktycznie biorąc, była ona identyczna z wskazaniami dalmierza. Wieczorem dnia tego mesa była terenem wielkiego triumfu artylerii nad biedną nawigacją.

Tymczasem poza okrętem, na lądzie, echa mojej niewinnej wycieczki zataczały szerokie kręgi i rosły jak la wina. Przekonałem się o tym nazajutrz. Schodziłem właśnie do mesy na śniadanie, kiedy do burty dobiła motorówka, przywożąc z sąsiedniego polskiego okrętu list, zaadresowany do mnie. Rozerwałem kopertę. W środku znajdowała się jakaś gazeta i doczepiona do niej niewielka kartka, na niej zaś nierówne, na kolanie skreślone, słowa: — „Dlaczego nam o tym nie powiedziałeś?" Podpisało je aż pięciu moich kolegów.

Popatrzyłem na gazetę. Był to „Daily Chronicle", sensacyjny dziennik londyński, o milionowym nakładzie. Z frontowej strony czasopisma uśmiechała się fotografia królowej Anglii, dokonywującej przeglądu jakichś kobiecych formacyj wojskowych. Obok, przykuwał uwagę czytelnika wielki nagłówek: „Ribbentrop leci do Rzymu". Jeszcze niżej, przez całą szerokość stronicy rozciągał się tłustym drukiem tytuł: — „Szpieg grasuje w przebraniu oficera polskiej marynarki".

Treść artykułu była jeszcze bardziej dramatyczna, niż nagłówek. Przedstawiała przebieg wielkiej obławy, przeprowadzonej wczoraj pod wieczór przez dwustu umundurowanych policjantów, w okolicy jednego z największych zakładów Królewskiej Marynarki. (Nazwy miejscowości nie podano, prawdopodobnie ze względu na cenzurę). Chodziło o niemieckiego szpiega. Podczas wczorajszego nalotu na wschodnie wybrzeże wyspy został on prawdopodobnie wyrzucony ze spadochronem. Mówił płynnie po angielsku (aż pokraśniałem w tym miejscu z zadowolenia), a przy tym posługiwał się oficjalną mapą i niemieckim aparatem fotograficznym.

W drugiej części artykułu „specjalny korespondent" składał hołd bohaterstwu anonimowego oficera królewskiej, tajnej policji, który z narażeniem życia przez dłuższy czas, samopięć, tropił szpiega. W pewnym momencie jechał nawet z nim razem w jednym samochodzie. Niestety, jak dotąd obława nie dała pożądanego skutku. Istnieją jednak poszlaki. Oficer policji, dowodzący operacją, jest przekonany, że jeszcze dnia tego przed zapadnięciem zmroku dostawi Niemca do najbliższego aresztu. Tym czasem, cała ludność okoliczna proszona jest o współdziałanie.

Następnego dnia wypadło jakieś święto. W dodatku, zapowiedziane wyjście na morze zostało odwołane. Zatelefonowałem więc do Holbrook i zaprosiłem commandera na zwiedzenie naszego okrętu.

Przyjechał wraz z żoną i synkiem. Teddy był zachwycony pomostem, zwłaszcza telegrafem maszynowym. W ogóle nie chciał od niego odstąpić.

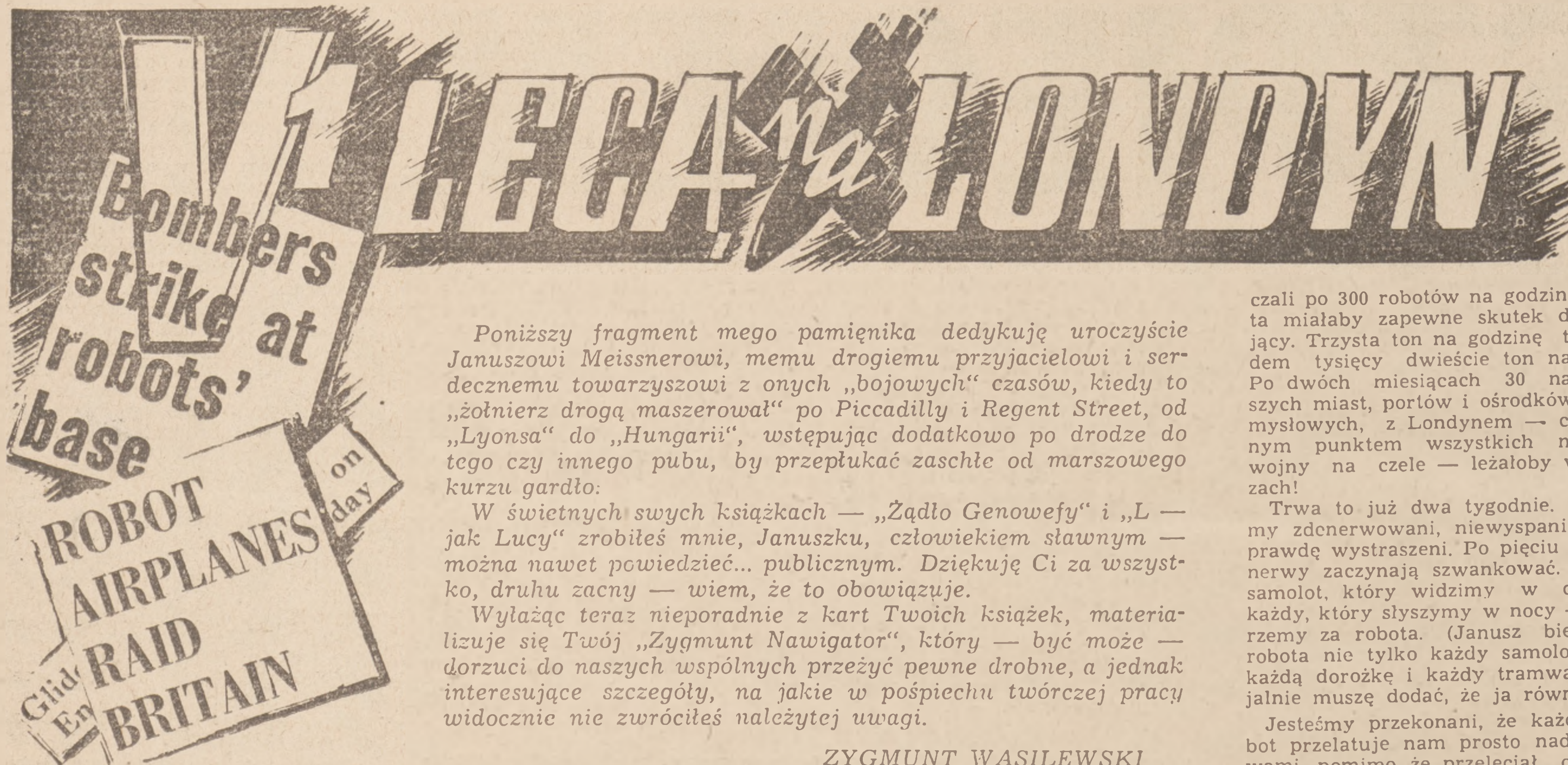
Gdy odpoczywaliśmy w mesie, pokazałem jego ojcu gazetę. Uśmiechnął się, dodając, że i on wczoraj przeżył drobną cząstkę sensacji, związanej z moją wizytą w szkole.

(Ciąg dalszy w numerze następnym).



**Załoga „Pioruna" (w środku brytyjski oficer łącznikowy).**

*Zygmunt Wasilewski*




*Poniższy fragment mego pamiętnika dedykuję uroczyście Januszowi Meissnerowi, memu drogiemu przyjacielowi i serdecznemu towarzyszowi z onych „bojowych" czasów, kiedy to „żołnierz drogą maszerował" po Piccadilly i Regent Street, od „Lyonsa" do „Hungarii", wstępując dodatkowo po drodze do tego czy innego pubu, by przepłukać zaschłe od marszowego kurzu gardło.*

*W świetnych swych książkach — „Żądło Genowefy" i „L — jak Lucy" zrobiłeś mnie, Januszku, człowiekiem sławnym — można nawet powiedzieć... publicznym. Dziękuję Ci za wszystko, druhu zacny — wiem, że to obowiązuje.*

*Wyłażąc teraz nieporadnie z kart Twoich książek, materializuje się Twój „Zygmunt Nawigator", który — być może — dorzuci do naszych wspólnych przeżyć pewne drobne, a jednak interesujące szczegóły, na jakie w pośpiechu twórczej pracy widocznie nie zwróciłeś należytej uwagi.*

ZYGMUNT WASILEWSKI

## Wyjątki z pamiętnika

**Londyn, dn. 20 czerwca 1944 r.**

To się nazywa pech! — 16-go, to jest w dzień, w którym Niemcy rozpoczęli niszczenie Londynu latającymi bombami, przyjechałem do stolicy brytyjskiej na dłuższy pobyt służbowy. Razem ze mną przyjechał mój przyjaciel Janusz Meissner, były pilot „L — jak Lucy" i było „Żądło Genowefy". (Dobrze ci tak, Januszku!).

Ponieważ od sześciu przeszło tygodni nie było w Londynie alarmu, a spokój zapowiadano na dłużej, zamieszkaliśmy w eksponowanej z punktu widzenia „kriegswichtige Ziele" dzielnicy — na Ebury Street, tuż przy dworcu Victoria i niedaleko Tamizy.

No i naturalnie, ledwo zmęczeni położyliśmy się do łóżek, zawyły syreny i nalot nieprzyjacielskich „samolotów" trwał z małymi przerwami przez...... kilka miesięcy!



**Tak wygląda latająca bomba V 1 w celowniku myśliwca.**

Pomimo, że wszystko odbywało się tak jakoś inaczej: „bombowce" leciały bardzo nisko, czasami tuż nad dachami, spod ogonów wydobywał im się płomień, dźwięk silników podobny był do turkotu starego motocykla, a potężne bomby padały pojedyńczo, nigdy seriami — przypuszczaliśmy na razie, że jest to zwykły nalot bombowy.

Ponieważ „bombowce" przelatywały mniej więcej co 10 minut, naprzód syreny wyły alarm, później rozlegała się bliższa lub dalsza detonacja, wobec tego syreny ryczały odwołanie, aby za chwilę znowu zawyć alarm, po którym rozlegała się bliższa lub dalsza detonacja i znowu odwołanie, ponownie alarm, znów detonacja, jeszcze raz odwołanie itd. itd. przez calutką noc.

„To jest something funny" (coś śmiesznego) powiedział Janusz i wcale się nie śmiejąc włożył buty (prawy na lewą nogę) i kołdrą nakrył się na głowę.

Spałem dosyć dobrze, co zawdzięczam nie tyle Niemcom, co bardzo smacznej mieszaninie rumu z pepermintem, którą nam — w braku whisky — zaproponował uprzejmy kelner z hotelu „Grosvenor", gdzie spędziliśmy wieczór.

Rano spytałem Janusza wytwornie — jak spał i — z angielska — co sądzi o dzisiejszej pogodzie?

— Ach, ty moczymordo — Janusz na to — bombardowali całą noc, artyleria waliła bez przerwy, dom się trząsł i wszystkie szyby nam wypadły, a ty na przemian, to chrapałeś, to gadałeś przez sen. Nie spałem zupełnie, bo nie mogłem zrozumieć coś bredził. Bezczelność!

Tajemnica dziwnego bombardowania została wyjaśniona już nazajutrz po pierwszym raidzie robotów! Tak, robotów! „Samoloty", które wczoraj przyleciały nad Londyn i które nadal przylatują bez przerwy (jest godzina 2-ga po południu, a było już kilkanaście alarmów) — to nie są samoloty, to są **latające bomby!** Bez silników, bez śmigieł, bez żadnych przyrządów radiowych! Tona materiału wybuchowego z małymi skrzydełkami i ogonem, nad którym znajduje się najprostszy napęd, działający podobnie, jak w dziecinnych zabawkach, łódkach — motorówkach opalanych tabliczką „Mety", oraz sprzężony ze sterami żyro-kompas utrzymujący kierunek i wysokość — oto robot!

Bomby te, których długość lotu odmierzona jest ściśle ilością paliwa (podobno spirytusu, Januszku, spirytusu!!!), spadają w różnych dzielnicach Londynu. Skutki ich wybuchów są bardziej tragiczne, niż skutki wybuchów zwykłych bomb, zrzucanych z samolotów. Przylatują prawie bez przerwy, a więc bez przerwy prawie trwa alarm. Nikt się nie chowa, nikt nie opuszcza miejsca pracy; życie Londynu, szczególnie w tak decydującym momencie jakim jest inwazja kontynentu, nie może przecież ulec przerwie. Rezultat — od robotów ginie znacznie więcej ludzi.



**W czasie nalotów V1 na Londyn widziało się codziennie dużo podobnych scen.**

**Londyn, dn. 1. 7. 1944 r.**

Gdyby Niemcy — jak mieli zamiar — lecz przeszkodziła im inwazja i bombardowanie wyrzutni — wypuszczali po 300 robotów na godzinę, broń ta miałaby zapewne skutek decydujący. Trzysta ton na godzinę to siedem tysięcy dwieście ton na dobę! Po dwóch miesiącach 30 największych miast, portów i ośrodków przemysłowych, z Londynem — centralnym punktem wszystkich nerwów wojny na czele — leżałoby w gruzach!



**Złowrogi robot nad Londynem.**

Trwa to już dwa tygodnie. Jesteśmy zdenerwowani, niewyspani i naprawdę wystraszeni. Po pięciu latach, nerwy zaczynają szwankować. Każdy samolot, który widzimy w dzień i każdy, który słyszymy w nocy — bierzemy za robota. (Janusz bierze za robota nie tylko każdy samolot, ale każdą dorożkę i każdy tramwaj. Lojalnie muszę dodać, że ja również).

Jesteśmy przekonani, że każdy robot przelatuje nam prosto nad głowami, pomimo że przeleciał o 1000 metrów z boku. Jesteśmy pewni, że każdemu robotowi paliwo skończy się akurat właśnie nad miejscem gdzie się znajdujemy, że dzielnica, w której mieszkamy, położona jest właśnie na drodze robotów i że właśnie jakieś ściśle określone, leżące w pobliżu nas miejsce — Pałac Królewski. Admiralicja, Air Ministry czy Hotel Rubens — jest dzisiaj głównym celem!

Świadomość, że walczą z nami roboty, ma w sobie coś niesamowitego.

— Wiesz Zygmunt, co?...

— Nie wiem.

— One... one... myślą! —

— Kto? Kitty i Betty, te rude od Lyonsa? Wątpię...

— „Nieee, nie te rude, roboty myślą!!"

— Janusz! na rany Boskie, coś ty?

— Tak, tak myślą. No, bo powiedz: w jaki sposób wymykają się chmarom myśliwców, którzy widzą je i w dzień i w nocy? Dlaczego nie zestrzeliwuje ich masami artyleria, ściągnięta chyba z całej Anglii? Jak przedostają się przez sieci balonów zaporowych, ustawionych jeden przy drugim przed samym Londynem?

— To prosta sprawa, Januszku, — małe są, szybko lecą, podobno przeszło 400 mil na godzinę, a więc dogonić je może tylko amerykański myśliwiec „Tempest", — ani „Spitfire" ani „Hurricane" nie dadzą im rady. W tych warunkach, nic dziwnego, że udaje się niektórym przedrzeć przez zapory.

— Niektórym? A dlaczego cztery bomby upadły dzisiaj pod rząd — jedna w Green Parku, druga tuż przy Victorii, trzecia na Wilton Street, a czwarta na Belgrave Road?

— Nie wiem dlaczego upadły. Widocznie gaz im się skończył...

— Gaz im się skończył, gaz im się skończył! Nie, mój drogi, nie dlatego. Pomyśl mózgiem troszkę! Przecież to jest trasa autobusu Nr 124!!! Autobusu, którym **ja** zawsze jeżdżę! Nie, one nie są bezmyślne, **one wiedzą co robią!**

— O, rany! A może rzeczywiście? Zguba byłaby kompletna!...

**Londyn, dn. 4. 8. 1944 r.**

Bądź z prasy, bądź z poufnych biuletynów Air Ministry, dowiadujemy się coraz więcej ciekawych szczegółów o nowej broni niemieckiej.

Do 31 lipca, a więc w przeciągu sześciu tygodni, przyleciało nad Anglię 5340 latających bomb. Zabiły one 4735 ludzi, a 14000 ciężko poraniły. 17000 domów zostało zniszczonych całkowicie, a 800.000 uszkodzonych. Około 1.000.000 mieszkańców stolicy, nie mających zajęcia związanego bezpośrednio z wysiłkiem wojennym, musiało opuścić Londyn. (Bardzo chcielibyśmy z Januszem opuścić Londyn, ale nasze niemożebne wysiłki wojenne w żadnym razie nam na to nie pozwalają).

(c. d. n.)

## 100 proc. więcej
## niż przed wojną produkują
## Zakł. Wytw. "Społem"
## we Włocławku

Zakłady Wytwórcze „Społem" we Włocławku, ul. Starodębska 41, istnieją od października 1926 r. Mieszczą się w posesji zakupionej przez Związek „Społem", którą przebudowano i przystosowano do potrzeb Zakładów. Przystąpiono do pracy. Zakłady zatrudniały wtedy 10 pracowników, a produkcja wykonywana była ręcznie.

W 1928 r. przez rozbudowę i nadbudowę powiększono o 100 proc. pomieszczenia fabryki i częściowo ją zmechanizowano. Zatrudniała wtedy 180 pracowników. W dwa lata potem rozpoczęto produkcję czekolady, przyczem fabryka została całkowicie zmechanizowana. W 1932 r. uruchomiono piekarnię cukierniczą i dział przypraw do ciasta. Na rok przed wojną Zakłady zatrudniały już 350 osób, a rocznie ich produkcja wyniosła 416 ton przetworów owocowych, 318 ton cukierków, 87 ton czekolady, 61 ton kawy zbożowej, 55 ton herbatników, wafli i pierników oraz 38 ton przypraw i deserów.

W czasie okupacji Niemcy fabrykę przejęli. Po usunięciu okupantów w styczniu 1945 r. natychmiast przystąpiono do porządkowania zabudowań i urządzeń fabrycznych, które były silnie zdewastowane, głównie z powodu braku racjonalnej konserwacji. Surowce i gotowe fabrykaty rozgrabił tłum. Do produkcji przystąpiono w maju 1945 r. W tej chwili Zakłady prowadzą tylko produkcję cukierków i namiastki kawy. Produkcja cukierków przekroczyła już normy przedwojenne, do końca bowiem bieżącego roku Zakłady wyprodukują ponad 400 ton różnych gatunków cukierków. Kawy (namiastki) zaplanowano wyprodukować 120, a wykonano 438 ton. W roku przyszłym produkcja cukierków wzrośnie do 600 ton, co stanowi przekroczenie normy przedwojennej o 100 proc.

Zakłady zatrudniają obecnie 150 osób i są prawie całkowicie zmechanizowane, a produkcja ich odbierana jest przez placówki handlowe „Społem". 30 proc. produkcji cukierków przejmuje Zjednoczenie Przemysłu Cukierniczego. Są to cukierki przydzielane dzieciom na kartki żywnościowe. Wyroby Zakładów cieszą się doskonałą opinią, toteż fabryka pracuje bez przerwy cały rok, nie znając tzw. martwego sezonu. Mimo to nie może pokryć zapotrzebowania na swoje wyroby.

Kierownictwo Zakładów w osobie p. Wacława Tylniana (28 lat pracy w Spółdzielczości) stwierdza, że tak poważne osiągnięcia fabryki były możliwe tylko dzięki wyjątkowo dobrze dobranemu zespołowi pracowników z kierownikiem technicznym — Feliksem Sitarkiem na czele, który w Zakładach pracuje od 1930 r. (a)



# O dobre masło dla miast

Okręgowy Oddział Mleczarsko-Jajczarski „Społem" w Bydgoszczy, ul. Pomorska 34, istnieje od czerwca 1945 roku. Dział jajczarski z dniem 1 kwietnia br. przeniesiony został do Grudziądza, a obok tego Oddział prowadzi filie: w Toruniu i Więcborku. Filie wyposażone są w chłodnie oraz prowadzą wylęgarnie drobiu. W Toruniu istnieje ponadto tucznia i zamrażalnia drobiu.

Na terenie województwa Pomorskiego czynnych jest 78 Okręgowych Mleczarń Spółdzielczych i 7 prywatnych Zakładów Mleczarskich. Dotychczas do „Społem" w charakterze członków zgłosiło się 52 spółdzielnie mleczarskie.

Początkowa praca Oddziału, oparta na świadczeniach rzeczowych, stopniowo przechodziła na skup wolnorynkowy, zwiększając z roku na rok swoje obroty. Z kontyngentów Oddział wywiązał się w całej rozciągłości. Za cały okres od 1 czerwca 1945 r. do 30 września 1947 r. Oddział zebrał i rozprowadził w ramach kontyngentów 352.631 kg masła, 128.453 kg sera chudego, 6.288 kg serów półtłustych i tłustych, 15.220 kg twarogu, 6.638 kg miodu i 482.907 sztuk jaj.

W tym samym okresie czasu w obrotach wolnorynkowych Oddział skupił i rozprowadził: 1.189.772 kg masła, 34.894 kg sera chudego, 20.740 kg serów półtłusych i tłustych, 10.715 kg twarogu, 32.787 kg miodu, 8.024.258 sztuk jaj, 13.162 kg kazeiny mokrej i 1.275 kg kazeiny suchej. Porównując obroty Oddziału za lata 1945, 1946 i 1947 — nadmienić trzeba, że 9 miesięcy br. dały więcej w obrotach, niż oba lata poprzednie razem.

W ramach akcji jajczarskiej, poza sprzedażą świeżych jaj na miejscowym rynku, zabetonowano na reglamentację — 1.806.950 szt., wyeksportowano za granicę — 1.244.000 szt., przygotowano do eksportu — 700.000 szt., a ponadto rozprowadzono z wylęgu piskląt jednodniowych — 90.311 szt.

W 1946 roku Oddział zakupił gęsi. Poddane tuczeniu, osiągnęły przeciętną wagę 5,5 kg sztuka. Tucz ten w ilości 3.700 szt. wywieziono do Anglii, a 2.400 szt. rozprowadzono w kraju. W roku bieżącym skupiono już 10.000 szt. gęsi, a projektuje się jeszcze skup dalszych 10.000 szt.

W ramach akcji zleconej Funduszu Aprowizacji Oddział dostarczył na kartki dla dzieci i matek karmiących w okresie od 1.IX.1946 r. do 31.VIII.1947 r. — 3.404.774 ltr. mleka pełnotłustego w cenie 2 zł za litr. Z dostaw „UNRRA" Oddział w 1946 roku zmagazynował i rozprowadził 192.688 kg różnych gatunków sera. Również po cenach reglamentowych rozprowadzono w 1947 r. — 146.375 kg masła duńskiego.

W wyniku akcji premiowania mleka ze świadczeń rzeczowych Oddział rozprowadził pasz treściwych w 1946 i 1947 r. — otrąb pszennych i makuchów — 787.952 kg oraz cukru — 85.175 kg.

Dla podniesienia sprawności mleczarń, Oddział prowadzi warsztaty reparacyjno-montażowe, w których dokonano 26 gruntownych remontów mleczarń i chłodni oraz zainstalowano i uruchomiono 18 urządzeń chłodniczych. Oddział zatrudnia 103 pracowników stałych i 30 sezonowych, a kierownikiem tej ważnej dla Pomorza placówki jest ob. Zenobiusz Chojnowski. (a)

# Spółdzielcze źródło pomocy szkolnych

Oddział Papierniczy i Mat. Piśm. „Społem" w Bydgoszczy, ul. 1-go Maja 10, istnieje od czerwca 1946 r., zatrudniając w chwili obecnej 25 pracowników. Prowadzi działy: papieru i wyrobów papierowych, materiałów piśmiennych, pomocy szkolnych (w ramach akcji Ministerstwa Oświaty), przemysłu dla wsi (w zakresie papiernictwa) oraz — wydawnictw spółdzielczych. Oddział obsługuje w zakresie dostawy prowadzonych przez siebie towarów — 18 powiatowych placówek „Społem" z terenu Okręgu Pomorskiego, 19 spółdzielni księgarsko-papierniczych i 16 spółdzielni „Samopomocy Chłopskiej". Ponadto Oddział zaopatruje w papier i materiały piśmien ne: wszystkie urzędy państwowe i samorządowe, szkoły, Uniwersytet im. Mikołaja Kopernika w Toruniu, wiele spółdzielni z sąsiednich okręgów: mazurskiego i Pomorza Zachodniego oraz cały miejscowy rynek prywatny. O rozmiarach pracy Oddziału świadczy fakt, że samych tylko zeszytów szkolnych w ramach akcji Min. Ośw. rozprowadzono w tym roku 3.500.000 egzemplarzy. Toteż obroty Oddziału, który jest jedyną wielką hurtownią spółdzielczą obok Państw. Centrali Zbytu Przem. Papierniczego, stale wzrastają, przy czym zwyżka ta w III kwartale rb. w stosunku do takiego samego okresu czasu z roku ubiegłego wynosi ok. 500%. Zwyżka ta ma charakter stały, bo te obroty w sierpniu w porównaniu z lipcem br. znów wzrosły o 97%. Obroty szlachetne ze spółdzielniami stanowią przeciętnie około 80% ogólnych obrotów Oddziału. Obok działalności handlowej Oddział prowadzi dział wytwórczy, który w wytwórniach państwowych, spółdzielczych i prywatnych przerabia papier surowy na: papier maszynowy, kancelaryjny, listowy wraz z liniaturą, zeszyty zwykłe, bruliony, zeszyty nutowe i rysunkowe, bloki korespondencyjne, notatniki itp. Oddział brał udział w ostatniej Wystawie Pomorskiej, zyskując powszechne uznanie dla swoich ciekawych eksponatów. (a.)

# Bydgoczcz - centralą handlu zielarskiego

Jeszcze w 1945 r. Okręgowy Oddział Rolniczy w Bydgoszczy (ul. Chodkiewicza 24) jak nas informuje p. Mieczysław Hermel, kierownik Oddziału — rozpoczął pracę, mające na celu zorganizowanie uprawy, zbioru, skupu i sprzedaży polskich ziół leczniczych, a więc tego działu naszego gospodarstwa narodowego, który był do tej pory w szczególnym, choć zupełnie niesłusznym zaniedbaniu.

Powołano w Oddziale specjalny referat, który rozpoczął pracę od skupu kilku gatunków najbardziej pospolitych ziół, dziko rosnących. Właściwa akcja propagandowa, racjonalna polityka cen, która idzie po linii zapewnienia zbieraczom i hodowcom dobrego zarobku za ich pracę — doprowadziły do tego, że dziś po dwóch latach prawdziwie pionierskiej działalności na tym nowym gospodarczym odcinku, referat zielarski poszczycić się może bogatym, bo około 140 gatunków zawierającym, asortymentem polskich ziół leczniczych dziko rosnących.

Dalsze prace referatu zielarskiego idą teraz w kierunku hodowli ziół, która dać może plantatorom duże dochody, ale wymaga od nich wytrwałej pracy i dużej cierpliwości. Zakontraktowano już plantacje dla niektórych gatunków ziół o łącznej przestrzeni 30 ha.

Skup ziół dał w 1946 roku 80 ton ziół suchych wartości ok. 9 milionów złotych. W roku bieżącym ilość skupionych ziół wyniesie około 100 ton wartości 30 milionów złotych. Mając na względzie zaopatrzenie rynku wewnętrznego we wszystkie zioła, referat zielarski w dalszym ciągu pracuje nad zwiększeniem asortymentu gatunków, troszcząc się również o wysoką ich jakość, co zwłaszcza przy eksporcie może mieć pierwszorzędne znaczenie.

Zgodnie z zawieranymi obecnie umowami, na mocy których Okręgowy Oddział Rolniczy w Bydgoszczy obejmie zaopatrywanie w zioła lecznicze wszystkich w całej Polsce aptek prywatnych, wojskowych, szpitalnych i Ubezpieczalni Społecznych — Bydgoszcz stanie się faktyczną centralą całego polskiego handlu zielarskiego. Tyle o zielarstwie, a przy okazji wspomnieć należy o innych pracach Oddziału.

A więc referat ziemiopłodów prowadzi obecnie akcję ziemniaczaną i akcję pasz. Podaż ziemniaków jest duża. Akcja skupu przebiega pomyślnie, dając w końcowym rezultacie przekroczenie planu o 50 — 100 proc. Ziemniaki pójdą na potrzeby ludności miejskiej Pomorza, dla górników i hutników Śląska oraz na zapotrzebowanie w surowiec państwowego przemysłu krochmalnianego w Pile i Toruniu. Akcja pasz napotyka na trudności. Brak jest zwłaszcza pasz treściwych. Wydatnie sytuację tu poprawi ostatnia obniżka przemiału zboża z 90 na 80 proc. Dobre na ogół zbiory rzepaku pozwolą na dostateczną produkcję makuchu. Zgodnie ze zleceniami Min. Aprowizacji i Handlu Oddział wysyła duże transporty (idące w tysiące ton) słomy i siana na tereny pod tym względem deficytowe w Lubelskim i Rzeszowskim.

Referat nasion oleistych prowadzi skup rzepaku, siemienia lnianego, gorczycy i maku dla przemysłu olejarskiego. Obroty w tym dziale są w stosunku do 1946 roku o 30 — 40 proc. większe. Z polecenia głównego pełnomocnika akcji siewnej przeprowadza się tę akcję na Pomorzu, a także przygotowuje się do wiosennej akcji siewnej, ogrodniczej i warzywniczej.

Referat plantacji został zorganizowany dopiero w tym roku. Celem jego jest dostarczenie jak największej ilości rolnikom doborowego materiału siewnego. Do tego celu zmierza przez zawieranie za pośrednictwem Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej umów plantacyjnych z najbardziej światłymi rolnikami.

Na mocy tych umów dostarcza plantatorom zboże kwalifikowane (najczęściej wprost od hodowców nasion). W roku przyszłym zbiory z plantacji zostaną przejęte przez Spółdzielnię Samopomocy Chłopskiej i rozprowadzone pomiędzy nowych plantatorów.

Referat artykułów przemysłowych odczuwa duży brak żelaza obręczowego. Rynek pomorski jest dostatecznie zaopatrzony w narzędzia rolnicze, naczynia emaliowane i ocynkowane oraz gwoździe. Popyt na maszyny rolnicze niewątpliwie wzrośnie po zastosowaniu projektowanej 10 proc. obniżki cen. Spółdzielnie wykazują duże zainteresowanie dla środków ochrony roślin. Akcja zaopatrzenia rolników w nawozy sztuczne rozwija się planowo. Dzięki zaopatrzeniu spółdzielni w zbiorniki, zlecone przez C.P.N. nafta rozprowadzona zostanie w sposób właściwy zarówno do miejskich, jak i wiejskich odbiorców. (a)



HELIODOR KUC

# AGATKO, GDZIE TY?

Satyryczno-parodystyczna
POWIEŚĆ KRYMINALNA

NIE WSZYSTKO TO JESZCZE

*VI.*

*(Ciąg dalszy)*

Okazało się, że gubernatorowa, zamiast położyć, jak zwykle, swe kosztowności do kryształowej wazy na gotowalni, wsunęła je do małej bocznej szufladki. To roztargnienie było najzupełniej zrozumiałe. Zważywszy stan duchowy gubernatorowej po wypadku w Zoo. Wyjaśniła się również sprawa płaszcza. Gubernatorowa, opanowawszy nieco roztrzęsione nerwy, przypomniała sobie, że płaszcz kazała Marysi wziąć ze sobą do Zoo. Pogoda była od kilku dni cudowna w Haparandzie i panie chodziły już do figury. Gubernatorowa chciała w godzinę później udać się do Zoo na przechadzkę i spotkać się tam z Agatką i Marysią. Ale wydawało jej się, że barometr zaczyna tego dnia wskazywać na zmianę, aczkolwiek ranek był bardzo ciepły i słoneczny. Kazała więc na wszelki wypadek wziąć płaszcz: gdyby się zrobiło chłodniej, wracałaby z Zoo w okryciu.

Tak więc postać Marysi ukazała się w innym świetle, jako dziewczyny porządnej i uczciwej. Pozostawało tylko otwarte pytanie w jaki sposób płaszcz mógł się znaleźć przy ul. Akacjowej Nr 27 w izbie Kura? Prawdopodobnie stało się to tak, że Marysia, idąc do Zoo, udała się nie zwyczajną drogą przez aleję Jaśminową, jak sądził początkowo Komisarz lecz, wyszedłszy z pałacu, skręciła na prawo, w ulicę Bohaterów, stąd weszła w Akacjową, gdzie miała się ewentualnie spotkać ze swym kochankiem, który, po dezercji dn. 9 maja, ukrył się tam. Możliwe, że ten, nie mając pieniędzy, wymusił na Marysi płaszcz. Uległa mu. Przybyła do Zoo (ulicą Akacjową do rogu alei Jaśminowej) zdenerwowana i wylękniona, nie wiedząc, jak się wytłumaczyć przed gubernatorową ze zgubienia płaszcza. W swym pomieszaniu mogła nie dopilnować Agatki. Wszystkie powyższe przypuszczenia były dosyć realne, mimo to udział Marysi w całej sprawie wydawał się niezaprzeczony; tym bardziej dziwna była rola Jana Kura. Jego osobą tedy należało się przede wszystkim zająć. Niewyraźna była również historia listu, który otrzymał był gubernator.

Komisarz przeprowadził naradę z wywiadowcami. Zapadły na niej pewne uchwały. Opracowano w ogólnych zarysach plan dalszego działania. Po czym Monk, upadając ze znużenia, oświadczył:

— Teraz niech się świat wali, a ja muszę na parę godzin udać się w objęcia Morfeusza, Jest godzina czwarta. Do szóstej śpię jak zabity. Gdyby tu telefonował sam najjaśniejszy pan, nie ma Komisarza Monka: wyjechał w teren: i wróci nie wcześniej niż o szóstej.

Monk powrócił do siebie. Zdjął obuwie, marynarkę i spodnie. Wyciągnął się na kanapie. Przykrył się pledem. Zamknął oczy. O jak dobrze! Zaczął się pogrążać w krainę rojeń i wzmacniającego snu.

— Panie naczelniku, panie naczelniku! — ktoś targnął go gwałtownie za ramię.

— Ludzie, litości! — wymamrotał Komisarz.

— Gubernator krzyczy, wrzeszczy przez telefon— mówiła służąca: — żeby się pan naczelnik natychmiast zameldował u niego.

— O, o — wyjęczał Monk: — ooo! Psiakrew, cholero jasna, bo łeb rozwalę, gnaty połamię! Nie ma mnie, nie ma, nie ma! Komisarz Monk w terenie, już ma Agatkę, już ją zaraz przywiezie, będzie za dwie godziny! Wont wszyscy ode mnie!

Pozwólmy Komisarzowi, z głową zapatuloną w pled, zdrzemnąć się parę godzin. Tymczasem, korzystając z jego snu, opowiedzmy, co się działo w Haparandzie na wiadomość o zniknięciu Agatki.

Wieść o nieszczęściu, które, jak czarny kruk, spadło na dom gubernatora, obiegła lotem błyskawicy Haparandę. Sekretarz osobisty gubernatora, znany nam już dr Feder, telefonował natychmiast do stolicy, do czynników miarodajnych, które zapowiedziały przysłanie specjalnego urzędnika, celem zbadania sprawy na miejscu i sporządzenia odnośnego raportu. Znakomity poeta haparandzki Grot, na którym spoczywał zaszczytny obowiązek układania przemówień noworocznych, politycznych i okolicznościowych dla gubernatorów haparandzkich, przystąpił do skomponowania odpowiedniej, brzemiennej w myśli, mowy, przeznaczonej do wygłoszenia przez gubernatora wobec urzędników, którzy mieli się stawić w wielkiej sali konferencyjnej z kondolencjami.

— Panowie — powiedział im stylem zwartym i treściwym gubernator — wiem, co was tu sprowadza. Z głębi zbolałego serca dziękuję, mówiąc wam wszystkim starohaparandzkie „Bóg Zapłać"! Ale, panowie, mój ból ojcowski i wasze gorące uczucia winny ustąpić przed obowiązkiem obywatelskim i nakazami pracy, coraz intensywniejszej, coraz bardziej wytężonej i państwowotwórczej. Do pracy więc, panowie, do pracy!

Pokrzepieni na duchu podniosłymi słowy, urzędnicy zaintonowali radośnie hymn haparandzki „Hej - ho, Hej - ho! Do pracy by się szło!" — po czym rozchodząc się po swych gabinetach i pokojach, zabrali się do śniadania tudzież do energicznego komentowania na sposób najróżniejszy straszneg wypadku.

Wysuwano przypuszczenia najbardziej fantastyczne. Jedni, porównując porwanie Agatki z głośnym niedawno na obu półkulach porwaniem przez gangsterów synka Lindberga, znakomitego lotnika — sądzili, że odbyło się ono na podłożu czysto merkantylnym, i za wysokim okupem Agatka będzie przez czarnorękalów (bo nie ulegało wątpliwości, że to ich sprawka) zwolniona; drudzy podejrzewali, że tło afery jest wyraźnie romansowe, podobnie jak mniemał pierwiastkowo komisarz Monk, inni jeszcze zastanawiali się, czy nie jest to jakaś grubsza gra polityczna, od której zależeć może cała kariera lubianego przez wszystkich gubernatora. Skutkiem sympatii, jaką się cieszy wśród urzędników i ludności, ma on dużo wrogów w stolicy. Kto wie, czy jego przeciwnicy polityczni nie umaczali palców w tej brudnej historii: porwali Agatkę, licząc, że po tym fakcie powiedzą gubernatorowi:



— Własnej córki upilnować nie możesz, a całego gubernatorstwa chcesz pilnować? Nie, bratku... I popędzą go w stan spoczynku.

— Przeciwnie — gorączkował się radca Koncept: — to właśnie najlepiej świadczy o gubernatorze! Dzień i noc tak jest zajęty sprawami państwowymi, że czasu nawet nie miał, by patrzeć Agatki.

— A po jakiego diabła, powiedźcie mi proszę — wtrącił się mrukliwy zazwyczaj i ociężały naczelnik wydziału dr Dienstweg: — po jakiego diabła gubernator ma patrzeć dziecka? Cóż to? Mamka, niańka, czy co?

Wścibski zawsze i wszędobylski referent Lizak uśmiechnął się tajemniczo i rzekł:

— Panowie tu mówią o polityce, o przeciwnikach politycznych naszego gubernatora... Zapomnamy o jednym, a warto to przypomnieć, nie w formie plotki, broń Boże, rzucającej cień na dom gubernatora...

Referent Lizak, jak się zdaje, przewidywał upadek gubernatora i być może chciał upiec jakąś swoją pieczonkę przy tym ogniu.

— Nie w formie plotki, podkreślam — mówił dalej: — Jest to zresztą tajemnica poliszynela, więc nie ma co owijać w bawełnę. Wiemy wszyscy, że matka pani gubernatorowej jest bliską przyjaciółką najjaśniejszego pana. Tylko dzięki tym stosunkom z jego królewska mością, gubernator otrzymał swe stanowisko. Nie ulega wątpliwości, że o jakichś knowaniach, jak tu ktoś napomknął, przeciw gubernatorowi, nie może być mowy. Zbyt mocne ma plecy w stolicy.

Chi, chi, chi — zachichotał zgryźliwy zawsze radca Kleks, unosząc głowę znad stosu papierów: — Jest przyjaciółką! Powiedz pan: była. A co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. Stare próchno! Babsztyl ma pewnie z pięćdziesiątkę, a najjaśniejszy pan, jak wiemy, im bardziej się starzeje, tym bardziej ceni świeżość. Niejedna już tam po niej...

Radca Kleks nie dokończył, machnął ręką i zagłębił się znowu w swych papierach.

— Być może, nie przeczę — bronił się referent Lizak, widząc, że jego rewelacje spaliły na panewce: — Jeśli nawet jest tak, jak twierdzi pan radca, to przecież musiały pozostać jakieś wspomnienia dawnej miłości, jakiś sentyment, który...

— Sentyment? — przerwał radca Kleks, ukazując znowu swe okulary znad stosu papierów: Chi, chi, chi! Ależ z pana romantyk, kolego Lizak. Nigdy bym się po panu tego nie spodziewał. W polityce pan wierzy w sentymenty? Chi, chi, chi...

Gdy oni tak sobie gwarzyli, gubernator wyszedł na dziedziniec pałacowy, żeby przyjąć defiladę kompanii policyjnej, która się zameldowała u niego, aby złożyć mu uroczyste przyrzeczenie imieniem całej policji, iż nie ustanie, póki nie odnajdzie Agatki.

— Czuj duch! W prawo patrz! — dał komendę dowódca kompanii, gdy gubernator, w otoczeniu niewielkiej świty, wstępował po czerwonym chodniku na dziedziniec.

Kompania prezentowała się wspaniale, imponując świetną postawą, którą wzbudziła powszechny zachwyt tłumu widzów, spoglądających przez kraty dziedzińca. Oczy policjantów, zwrócone na gubernatora, wyrażały bezgraniczną ufność, wierność i przywiązanie. Gubernator w prostych i krótkich słowach przemówił do kompanii, która odpowiedziała mu potrzykroć podchwyconym, entuzjastycznym okrzykiem „niech żyje", wydobytym z głębi swych prostych policyjnych serc. Po przyjęciu meldunku, gubernator zaprosił kompanię na skromny posiłek do sali recepcyjnej, gdzie rozmawiano czas niejakiś w atmosferze zupełnej policyjnej szczerości. Cała ta uroczystość, wywołując uczucia wielkiego wzruszenia i pewności rychłego odnalezienia Agatki, zakończyła się odśpiewaniem hymnu „Hej - ho, hej - ho! Do pracy by się szło"! — i pozostawiła w uczestnikach niczym niezatarte wspomnienia.

Jednocześnie w prasie haparandzkiej wrzało. Wszystkie pisma, jak: „Zmierzch bogów", „Kuj żelazo", „Wiadomości staroświeckie", „Siedem dób" i inne, wystąpiły z nadzwyczajnymi dodatkami i artykułami na temat porwania Agatki. Półoficjalny i prorządowy „Podwieczorek Haparandy" poświęcił sprawie całą pierwszą kolumnę, już w samych tytułach utrafiając doskonale w istotę rzeczy: — Wielki sukces policji haparandzkiej — Czarnorękale w potrzasku — Przestępcy grasowali ostatnio w tramwajach, wycinając kieszenie i rozpruwając teczki z pieniędzmi — Na czele szajki stało trzech zbirów — Pif, Paf i Hosa — Pokutują już w więzieniu — Śledztwo w toku.

Takie były tytuły pierwszego dodatku nadzwyczajnego, mającego na celu uspokoić opinię publiczną. Drugi z kolei był bardziej alarmujący:

— Ratujmy naszą młodzież! — Nowa potworna zbrodnia Czarnorękalów. Córeczka gubernatora porwana w tajemniczych okolicznościach — Niesłychane zuchwalstwo bandytów — SOS!SOS! — Wstrząsające szczegóły na stronicy drugiej — Pościg za zbrodniarzami trwa — Komisarz Monk przy pracy.

Szczegóły podawane były na stronicy drugiej dlatego, że na pierwszej nic się już więcej nie zmieściło, zajęła ją bowiem reprodukcja fotografii Agatki, prawie naturalnej wielkości. I tu dotykamy rzeczy dziwnej: w buzi Agatki, w wyrazie jej twarzyczki, w jej oczętach i rysach było coś takiego, co powinno było zwrócić uwagę komisarza Monka. Gdyby się był przypatrywał badawczo tej twarzyczce, śmiejącej się z wielkiej płachty dziennika, olśniłaby go, być może, pewna myśl, którąby niewątpliwie zaważyła na dalszym śledztwie, pchnęłaby je na inne zgoła tory. Ale Monk jak często bywa z ludźmi, którzy, powziąwszy raz pewną ideę, idą już prosto do celu, nie oglądając się na strony, nie uwzględniając tych wszystkich przypadkowych okoliczności z jakich przecież składa się życie — Monk nie zwrócił na fotografię większej uwagi, nie okazał się psychologiem i antropologiem również bystrym, jak był detektywem. Jednakże, nie uprzedzajmy wypadków. Pomówmy jeszcze o stanie umysłu w Haparandzie.

*(Ciąg dalszy w następnym numerze)*

# Odpowiedzi Redakcji

**P. Basia Kamińska — Płock, ul. Dobrzyńska 27.** — Szczęście tym razem dopisało i na „gwiazdkę" będzie książeczka wraz ze spóźnionymi życzeniami imieninowymi.

**P. Urszula Rettig — Krotoszyn, ul. Grzegorzew 4.** — Nadesłaną zagadkę postaramy się wykorzystać. Poza tym czynimy wszelkie wysiłki, aby „Tydzień" wyglądał zarówno treściowo, jak i graficznie coraz lepiej i zjednywał sobie coraz większą sympatię wśród Czytelników. Do wszelkich życzeń naszych miłych Czytelników, o ile będą możliwe do zrealizowania, będziemy starali się dostosować. Za życzenia dziękujemy.

**P. D. Maciołek — Podobowice, pow. Żnin.** protestuje przeciwko przedłużeniu terminu nadsyłania zagadek o tydzień. Protest Pana jest niesłuszny, chcemy bowiem umożliwić wzięcie udziału w konkursach jak największej rzeszy Czytelników, nawet z najdalej położonych miejscowości.

**P. Bożydar Adamski — Poznań, ul. Długa 5 — 9.** Zachęcamy do brania udziału w naszych konkursach i niezrażania się niepowodzeniami. Postaramy się ilość nagród zwiększyć.

**P. Władysław Bukowski — Myślenice, Kazimierza Wielkiego 115**, pisze: „czasopismo „Tydzień" bardzo chętnie czytam, a szczególnie zamieszczone w nim artykuły literackie oraz cieszę się ze stałej powieści jaką poczęło drukować". Książkę wysyłamy w dniu dzisiejszym. Za życzenia dziękujemy.

**P. F. Mioduszewski — wieś Stok, poczta Jabłonka Kośc., woj. Białostockie** porusza sprawę niejednolitych cen w Spółdzielniach, pisząc: „W tych dniach udałem się do Wysokiej Maz., w celu kupna parnika 100 litr. Otóż za ten sam parnik żądano w sklepie „Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej" 11.100 zł; w Spółdzielni „Społem" 11.100 zł, ostatecznie wytargowałem na 10.000 zł, kupiłem zaś w „Spółdzielni Rolniczo-Handlowej" za 9.500 zł (a gdzie reklamowana zniżka 10%-wa na narzędzia rolnicze?). W Zambrowie pow. Łomża, taki sam parnik kosztuje tylko 9.000 zł.

Podajemy to do wiadomości władz spółdzielczych i oczekujemy w tej sprawie wyjaśnienia. Wydaje nam się, że kalkulacja cen na towary „Przemysł dla wsi" powinna być jednolita we wszystkich spółdzielniach.

**P. Janina Szyjkowska — Chełmno.** Uwagi pani są bardzo cenne i postaramy się wszelkie mankamenty usunąć. Prosimy jednak „malgré tout" o nas nie zapominać.

**P. Jan Ryczaj — Przemyśl — Magistrat.** Nadesłane uwagi wykorzystamy w sklerozie. Niestety korekta jest taką samą plagą u nas, jak i w innych redakcjach.

**P. Zofia Uchmańska — Radość, ul. Kopernika 17.** Za nadesłane pomysły i pozdrowienia dziękujemy. Prenumeratę kwartalną „Tygodnia" wylosowaną przez Pani córkę zaliczyliśmy na Pani dobro, zgodnie z nadesłanym listem.



# Boże Narodzenie i Nowy Rok
## w przysłowiach

Z okresem świątecznym, trwającym od Bożego Narodzenia do Trzech Króli, związanych jest wiele legend, przepowiedni i przesądów, jak również kilkaset przysłów ludowych, które powstały na podstawie wieloletniej obserwacji życiowej naszych przodków.

Wigilia jasna —
będzie stodoła ciasna.

Gdy pasterka jasna,
to komórka ciasna.

Wigilia jasna, święty Jan ciemny
obiecuje rok przyjemny.
(świętego Jana Ewangelisty — 27 grudnia)

Wigilia piękna, a jutrznia jasna,
będzie stodoła za ciasna.

Gdy jutrzenka przed Gody długo świeci,

Chleba mają dosyć Boże dzieci.
Gdy zniknie gdzieś, w zasłonie
Nastąpią lata płone (złe).

**BOŻE NARODZENIE**

Gdy na Gody biało,
na wiosnę śniegu niemało.

Jeśli na Gody widać odłogi,
To na Wielkanoc bywa śnieg srogi.

Boże Narodzenie białe —
Wielkanoc zielona,
Boże Narodzenie zielone —
Wielkanoc biała.

Gdy się Chrystus przed pełnią rodzi,
W następnym roku urodzaj dogodzi.

Gdy w Narodzenie pogodnie,
Będzie tak cztery tygodnie.

Ile tygodni przed Bożym Narodzeniem
marzną kałuże,
tyle tygodni po Godach
bydełko w oborze.

Jak po Bożym Narodzeniu
wyjdzie niedziel dwadzieście i dwie,
to się ciepło rwie.

Narodził się Syn Boży,
co rok to gorzej.

Śnieg w Narodzenie,
gdy na sady spadnie,
kwitnąć będą obficie
i prostak to zgadnie.

Boże Narodzenie we wtorek —
na księży pomorek.

Śnieg w Gody, niesie urody.

Mroźne Gody, wczesne wody,
a jak słota, późno błota.

# ZMARNOWAŁEŚ SIĘ
## Anegdota o Jaraczu



*Rys. K. Piotrowski*

W r. 1913 Jaracz już aktor o wielkim nazwisku grał w niedawno założonym Teatrze Polskim pod dyrekcją Szyfmana. W lecie tego roku wypadło mu w osobistych sprawach pojechać do Tarnowa, swego miasta rodzinnego, gdzie uczęszczał do szkoły powszechnej i do gimnazjum.

Wchodząc do jakiegoś baru, zauważył, że przy bufecie stoi jakiś jegomość z pustą szklanką w wyciągniętej ręce i kiwa głową „na tak", a stojący za bufetem „na nie". Widocznie chce jeszcze piwa, a z jakichś powodów nie chcą mu podać. Gdy Jaracz podchodzi bliżej, poznaje w kliencie swego szkolnego kolegę. Następują powitania, pocałunki, a potem siadają przy stoliku i przy kieliszku dochodzi do zwierzeń.

Spotkany kolega opowiada, że był nauczycielem ludowym i z rozbrajającą szczerością przyznaje, że wyrzucono go ze szkoły za pijaństwo. Ale teraz dostanie w magistracie nową posadę, bardzo dobrą, bo będzie pobierał 70 koron miesięcznie. A co ty robisz — zwraca się do Jaracza.

— Jestem aktorem.

— Aktorem? Co to jest?

Jaracz mu tłumaczy.

— A ile zarabiasz?

— Miesięcznie 400 rubli.

— Czterysta rubli to ile to koron?

— Tysiąc koron.

— Tysiąc koron? — powtórzył i popatrzył na Jaracza z niedowierzaniem i wreszcie wybuchnął: To nieprawda! Nikt nie zarabia tysiąc koron, chyba może tylko namiestnik Galicji! Widzisz, byłeś na uniwersytecie, mogłeś uniwersytet skończyć i dziś miałbyś już złoty kołnierz (oznaka c. k. radcy) i ze 300 koron pensji. A tak — zmarnowałeś się!...

Jaracz bardzo lubił opowiadać tę historyjkę jako świetnie ilustrującą ówczesne stosunki i galicyjską nędzę.

# Nowe książki

**Zdzisław Morawski — Pieniądz.** „Pieniądz" jest jedyną pracą młodego ekonomisty Zdzisława Morawskiego, ucznia prof. dr A. Krzyżanowskiego. Jedyną, gdyż autor jej zginął tragicznie w Niemczech, dokąd wywieziony został po Powstaniu Warszawskim. Tematem książki są romantyczne dzieje waluty. Autor w sposób łatwy, przystępny i interesujący, szkicuje perypetie, którym podlega bilet bankowy w zjawiskach choćby takich, jak inflacje i deflacje, oraz zaznajamia czytelnika z historią najbardziej ciekawych przewrotów ekonomicznych świata w ciągu ostatnich dwóch stuleci.

Stron 207 z przedmową prof. Adama Krzyżanowskiego. Wydawnictwo E. Kuthana.

**Lucyna Krzemieniecka — W bajowej gospodzie.** Autorka tej książeczki jest jedyną z najbardziej utalentowanych współczesnych pisarek dla dzieci. Potrafi ona łączyć element dydaktyczny z artystycznym. Dziecko czytające tę książeczkę uczy się nie tylko przyrody i geografii, z których to nauk wiadomości autorka dyskretnie wplata w swe opowiadania. Propaguje ona zasady dobra, uczciwości i sprawiedliwości.

Wierszem operuje autorka z niezmierną łatwością, a zmieniająca się płynnie stopa wiersza, chroni ucho, nawet bardzo wybredne, przed zmęczeniem. Str. 48. Wydawnictwo E. Kuthana.

# PRZYSMAKI KRÓLOWEJ JADWIGI

*Ilustrował Kazimierz Mann*

Życie domowe naszych przodków z XIV wieku możemy odtworzyć sobie dosyć dokładnie na podstawie rejestrów skarbowych Władysława Jagiełły i królowej Jadwigi. Rejestry te, zachowane w archiwach, obejmują lata od 1388 do 1420 i zawierają szczegółowe wykazy codzien



nych wydatków na potrzeby dworu, sporządzane przez urzędników królewskich.

Okazuje się, że królowa Jadwiga, jak każda dobra żona, starała się dogodzić gustowi swego królewskiego małżonka, wydatki bowiem na różne smakołyki i wymyślne przyprawy wyraźnie znikają z rachunków z chwilą jej śmierci, tj. z 1395 rokiem.

Do tej jednak daty aptekarz nadworny — Andrzej z Krakowa miał wiele pracy ze sporządzaniem cukierków i powidełek, jakie ogrywały równocześnie rolę środków dietetycznych, ze względu na sutość i obfitość ówczesnych potraw. W skład tych smakołyków, prócz cukru lub miodu, wchodził cynamon, imbir, pieprz, goździki, kwiat muszkatołowy, anyż itd. Barwione były szafranem, a pokrywane złotem lub srebrem. Te korzenne przysmaki król zabierał ze sobą w podróż i obdarowywał nimi swych przyjaciół i gości.

Ze śmiercią młodziutkiej królowej nie tylko jednak ustało sprowadzanie zagranicznych składników do wyrobu łakoci. Jest rzeczą ciekawą, żą z rachunków znikają wówczas



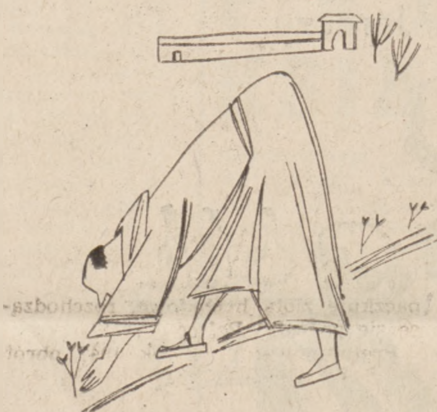
również wydatki na mydło, które poprzednio kupowano bardzo często i posyłano królowi do miejsc jego pobytu.

Aptekarz Andrzej musiał dobrze zarabiać. Znajdujemy bowiem notatkę, że za cukierki i powidełka przesłane księciu Witoldowi z polecenia króla jegomości, wypłacono mu 7 grzywien. W innym miejscu jest wzmianka: „Za złoto i szafran wydane aptekarzowi Andrzejowi do cukierków — jedna kopa groszy"

Jaką to wówczas stanowiło wartość? Trzeba wiedzieć, że grzywna była najwyższą w owych czasach jednostką monetarną i dzieliła się na 24 szkojce. Szkojec zaś równał się 48 groszom. Otóż krowa kosztowała 13 — 15 szkojców, wieprz 7—9 szkojców, gęś 1 grosz, a łokieć białego płótna jeden szkojec. Cena natomiast egzotycznych produktów i przypraw aromatycznych, których dużo używano również i do potraw, była wysoka. Tak np. funt goździków lub imbiru kosztował 24 szkojce, cynamonu — 18, pieprzu gwinejskiego — 12, cukru — 11, ale migdały, rodzynki i figi były już po 2 sztojce za funt.

Poza powyższymi ciekawostkami, wspomniane rejestry są bogatym źródłem wiadomości o rozwoju warzywnictwa i sadownictwa w Polsce XIV wieku. Olbrzymia większość jarzyn, owoców i przypraw, spotykanych codziennie na naszych stołach, pochodzi z bardzo odległych stron — Ameryki, Azji, Afryki. Jedynie marchew, kapusta, chrzan należą do flory środkowo - europejskiej. Kolebką kultury rolnej były Indie, skąd przez Małą Azję przenikała ona do Grecji i Rzymu, a po upadku Państwa Rzymskiego i przy rozpowszechnianiu się chrześcijaństwa szybko posuwała się ku północy.

W Polsce w 1006 roku Bolesław Chrobry osadza zakon Benedyktynów, który specjalnie trudni się ogrodownictwem, a w wieku XIV posiadamy już bogato rozwinięte warzywnictwo i sadownictwo. Nie jadano wprawdzie wówczas znanych jeszcze Rzymianom szparagów i karczochów, natomiast pietruszka była codzienną przyprawą, gdy we Francji i w Anglii zaczęto ją hodować w ogrodach dopiero w XVI wieku. Nieużywany dziś pasternak stale figurował na stołach jako potrawa w czasie Wielkiego Postu. Niektóre warzywa, częste na dworze Jagiełły, znikły już zupełnie. Należy do nich np. „kuczmerka" i „ger" lub „gker".



Uprawiane były w owym czasie już wszystkie gatunki zbóż i większość warzyw, jak buraki, kilka odmian kapusty (jadano również kapustę kiszoną), cebula, marchew, ogórki, dynia, rzodkiew, sałata itp. Częstą potrawą w poście była brukiew. Na dworze królewskim już w czerwcu podawano młody zielony groszek, płacąc za kwartę 1—3 grosze, gdy we Francji w XVII wieku kosztował 100 — 200 franków litr tego specjału, o który dobijano się w kołach arystokracji, a w Anglii był on jeszcze rzadkością. Groch, chleb razowy, jagły i piwo figurowały stale w jadłospisie dla dworzan i służby.

W sadach hodowano śliwy, wiśnie, jabłonie i grusze. Stwierdzeniem istnienia różnych odmian gruszek i jabłek są zapiski o dostarczaniu ich do dworu, zarówno w lecie, jak i w grudniu. Z orzechów laskowych wytłaczano olej na stół królewski, a jadano je jako łakocie. Zato o orzechach włoskich jest tylko raz jedna wzmianka z roku 1389. Podane były na deser do obiadu dla królowej. Jaki był codzienny obiad królowej? — Możemy w przybliżeniu domyśleć się tego z rejestru, w którym wyliczono wszystkie użyte nań produkty, a więc: ryby, raki, masło, jaja, ser, mleko, śmietana, grzyby, jagły, koper, pietruszka, ocet, chleb razowy, piwo i strucla z białej mąki. Od czasu do czasu, jako danie wyk■ntne — specjalnie dla królowej — podawano ryż.

Codziennym napojem na stole króla i dworzan było piwo, warzone we własnych warzelniach. Nie musiało ono jednak być zbyt dobre, gdyż często kupowano piwo z prywatnych warzelni, zwłaszcza wiślickie, uchodzące za najlepsze. Na uroczystościach podawano wino węgierskie, francuskie i inne. Lecz tu znajdujemy rachunek również za wino... krajowe. Pochodziło ono z Zagościa, gdzie jeszcze w XII wieku sprowadzeni przez księcia Henryka bracia Szpitalnicy założyli winnicę. Przypraw zagranicznych, stale używanych, dostarczali kupcy włoscy i gdańscy.

Ten rzut oka na rozwój rolnictwa i warzywnictwa w Polsce XIV wieku pozwala stwierdzić, że nie ustępowała ona krajom zachodnio - europejskim w postępie cywilizacji, przyswajając sobie szybko jej zdobycze a często nawet wyprzedzając inne państwa w różnych dziedzinach życia.

ZOFIA DRABIKOWA.



# SŁODYCZE
## dla dzieci robotniczych — to nie luksus

Zakłady Wytwórcze „Społem" w Bydgoszczy, przejęte na zasadzie dzierżawy od Państwa w 1945 r. zajmują dwie posesje. Przy ul. Poznańskiej 16 mieści się: dział karmelarski, czekoladziarstwa i kakao, dział pralin, palarnia kawy i produkcja marmelady, a przy ul. Garbary 5 znajdują się piekarnia ciast słodkich, herbatników, wafli, keksów i pierników. W chwili obecnej Zakłady zatrudniają 178 pracowników (w tym 22 umysłowych).

Produkcja Zakładów, których wyroby są powszechnie znane, stale wzrastała. W roku 1945 np. wyprodukowano: 71 ton cukierków i 89 ton marmolady. Rok 1946 wykazał dużą zwyżkę produkcji. Wykonano mianowicie: 230 ton cukierków, 113 ton marmolady, 30 ton czekolady, 5 i pół tony kakao i 25 i pół tony kawy prawdziwej. Trzy kwartały br. dały dalszą zwyżkę, bo oto wyprodukowano: 238 ton cukierków, 16 ton marmolady, 47 ton czekolady i 5 i pół ton kakao.

W planach kierownictwa Zakładów przewidywana jest dalsza ich rozbudowa, unowocześnienie ich urządzeń i usprawnienie produkcji. Dział marmolad stopniowo zostanie całkowicie zlikwidowany, a natomiast ponownie uruchomiony będzie (chwilowo obecnie nieczynny) wypiek ciast, keksów, wafli, herbatników i pierników.

Cała prawie produkcja Zakładów wykonywana jest na zlecenie Ministerstwa Aprowizacji i Handlu (zwłaszcza cukierki i czekolada) na przydziały kartkowe. Niewielkie tylko nadwyżki dostają się na wolny rynek.

Wyroby Zakładów cieszą się powszechnym uznaniem. Jest to zasługą zespołu pracowników, którzy rekrutują się z doskonałych sił fachowych. Kierownikiem produkcji jest znany fachowiec ob. Antoni Zydroń. W tej chwili Zakłady pracują w wytężonym tempie, aby podołać zapotrzebowaniu świątecznemu

Zakłady posiadają własną straż pożarną. Stosunek pracowników do kierownictwa Zakładów, które spoczywa w ręku ob. Antoniego Mazura jest nacechowany serdecznością. Przy Zakładach istnieje biblioteka naukowo - beletrystyczna i żywo pracująca Sekcja Sportowa. W okresie letnim organizowane były wycieczki w okolicę i do Poznania na Targi, z których korzystali wszyscy pracownicy wraz z rodzinami. (a)



Przy posiłku w stołówce zakładów „Lukullus" w Bydgoszczy.

# SPÓŁDZIELCZOŚĆ WIEJSKĄ NALEŻY WZMOCNIĆ I UJEDNOLICIĆ

W lutym 1939 roku uruchomiona została w Białej Podlaskiej składnica Oddziału Brzeskiego „Społem". W 1940 roku składnica ta usamodzielniła się, otrzymując uprawnienie Oddziału z zasięgiem działania na obszary powiatu bielsko - podlaskiego. W lipcu 1944 roku, w czasie działań wojennych Oddział został ograbiony. Natychmiast jednak po usunięciu okupanta wznowił swoją działalność.

Oddział powiatowy „Społem" w Białej Podlaskiej, ul. Terespolska 18, mieści się w budynku wydzierżawionym od O.U.L., który własnym kosztem wyremontował i przystosował do potrzeb biurowych. Lokal jest wygodny i obszerny i odpowiada całkowicie wymaganiom biur.

W powiecie istnieje 81 spółdzielni różnego typu, z których 52 współpracuje handlowo z Oddziałem, zaopatrując się w nim w towary w 80 — 85 proc. swego zapotrzebowania.

Oddział jest członkiem Giełdy Zbożowo - Towarowej i zaopatruje się w towary w Okręgowych Oddziałach Spożywczych i Rolniczym „Społem" w Lublinie. Prowadzi działy: kolonialno - spożywczy, galanterii żelaznej, artykułów gospodarstwa domowego, włókienniczy, materiałów opałowych, artykułów budowlanych i materiałów pędnych. Posiada hurtownie: wyrobów P.M.S., wyrobów tytoniowych, zapałek, soli i drożdży.

Obroty Oddziału stale wzrastają, a 80 proc. tych obrotów powstaje z handlu ze spółdzielniami. Sprzedaż produkcji własnej „Społem" daje 6 proc. ogólnego obrotu. Handel z kupiectwem prywatnym jest minimalny i ogranicza się wyłącznie do artykułów monopolowych.

Przywóz towarów do Oddziału wynosi ok. 60 wagonów miesięcznie. Oddział sprzedaje i rozprowadza na całą Polskę produkcję Fabryki Przetworów Warzywnych w Terespolu n/Bugiem i Zakładów Przemysłu Drzewnego w Białej Podlaskiej.

Magazyny Oddziału są niedostateczne i rozrzucone po mieście, co wysoce utrudnia gospodarkę. W stadium pertraktacji znajduje się sprawa kupna placu przy torze kolejowym, na którym wybudowanoby właśnie nowe magazyny. Tabor składa się z 3-ch samochodów ciężarowych, które spółdzielniom odwożą nabyte w Oddziale towary.

Oddział całkowicie panuje nad miejscowym rynkiem. Kilkakrotnie skuteczne inerwencje Oddziału nie dopuściły do zwyżki cen na artykuły najpierwszej porzeby.

Charakter powiatu jest zdecydowanie rolniczy. Sieć spółdzielni jest dostateczna. Pracuje na tym terenie: 52 Spółdzielnie Spożywców, 4 Rolniczo-Handlowe, 6 Samopomocy Chłopskiej, 7 kredytowych, 7 mleczarskich i 5 różnych specjalnych. Do Białej Podlaskiej ciążą gospodarczo: powiat włodawski i część powiatu siedleckiego. Spółdzielnie z tych terenów zaopatrują się w towary przeważnie w Oddziale w Białej. Współpraca ze spółdzielniami, które mają do Oddziału pełne zaufanie, układa się pomyślnie. Obecnie dokonuje się w powiecie komasacja spółdzielni rolniczych, co niewątpliwie spółdzielczość wiejską wzmocni i ujednolici jej organizację i gospodarczą strukturę. Rada Oddziałowa jest bardzo ruchliwa, a praca jej wiele przynosi korzyści zarówno Oddziałowi jak i spółdzielczości powiatu.

Oddział zatrudnia 38-miu pracowników. Kierownikiem Oddziału jest od 1.10 1945 r. p. Tadeusz Paryt, a jego zastępcą p. Wacław Supryn.

(a)

# Pełnowartościowe środki odżywcze

W kwietniu 1945 r. Wydział Produkcji „Społem" przejął od Państwa na zasadach dzierżawy Zakłady Wyrobów Odżywczych w Poznaniu( ul. Starołęcka 42). Zakłady te to przedwojenna własność firmy „Knorr". Wybudowane zostały w latach 1932 — 1935, jako polska filia niemieckiego koncernu przemysłu spożywczego.

Wykorzystując doświadczenie i zdobycze firmy „Knorr". Zakłady „Społem" w Poznaniu - Starołęce produkują w dalszym ciągu znane i cenione przed wojną wyroby spożywcze, opierając się na polskich i jakościowo najlepszych surowcach. Niezależnie od tego przygotowano już, bądź też znajduje się w okresie prób i doświadczeń, szereg nowych środków odżywczych, opracowanych przez naszych chemików, wybitnych w tym dziale fachowców.

Dla produktów Zakładów w Poznaniu — Starołęce charakterystyczne jest słowo: „odżywcze". Nieomal wszystkie wyroby tych Zakładów posiadają cechy „skoncentrowany środek odżywczy", „wybitna odżywka", „odżywka dla dzieci", „odżywka dietetyczna" itp., a określenie takie, jak: „wartość odżywcza", „wartość kaloryczna", „wysoki stopień asymilacji" (przyswajalności), „witaminy", „sole mineralne" itd. — są stosowane stale w odniesieniu do jakości artykułów produkowanych w Zakładach.

Spośród wielu artykułów produkowanych w Zakładach na specjalną uwagę zasługują:

**Płatki owsiane** — produkowane z najwyższych gatunków owsa, ulegają 28-miu różnym procesom przetwórczym, zanim staną się towarem gotowym. To daje im gwarancję doskonałej jakości, a wszechstronne ich zastosowanie kulinarne — czyni je poszukiwanym na rynku artykułem.

**Płatki górskie** — 3 minutowe — dodatkowo preparowane i uszlachetnione, stanowią szczyt doskonałości w tym rodzaju wyrobów.

**Mączka owsiana** — jest znakomitą i niezastąpioną odżywką dla dzieci i chorych. Wysoka wartość odżywcza i dietetyczna, wybitne cechy smakowe oraz zawartość wielu cennych składników pokarmowych — czynią mączkę owsianą jedynym i właściwym pokarmem dla młodych organizmów.

**Tapioka polska** — jest produktem, zbliżonym, do znanego „sago". Wybitna lekkostrawność i przyswajalność, brak soli, zawartość niemal 100% węglowodanów — pozwala na użycie tapioki w wypadkach najpoważniejszych schorzeń. Poza tym służy do zagęszczenia zup, bulionu, barszczu oraz do przyrządzania licznych potraw lekkostrawnych i odżywczych.

**Kakao owsiane** — składające się ze sproszkowanego prawdziwego ziarna kakaowego z dodatkiem mączki owsianej własnej produkcji, soli mineralnych oraz witamin — jest produktem nieustępującym pod względem smaku i barwy oryginalnemu kakao. Posiada natomiast większą wartość kaloryczną i odżywczą, jest znacznie tańsze oraz ekonomiczniejsze w użyciu, gdyż dawka jego na jeden litr napoju jest o połowę mniejsza od prawdziwego kakao.

Ze znanych przedwojennych wyrobów dawnej firmy „Knorr" Zakłady produkują nadal:

**Zupy** w kostkach (45 gram) w 5-ciu smakach: grochowa, grzybowa, pomidorowa, ogonowa oraz 5-cio minutowa (owsiana).

**Sosy** w kostkach (30 gram) w dwu smakach: pieczeniowy i grzybowy.

**Kostki rosołowe** (4 gram) — dające szklankę smacznego i pożywnego rosołu.

**Przyprawę** w płynie (buteleczki 110 gram) — jako dodatek, poprawiający smak potraw, a więc: zup, mięsa, ryb, jarzyn, sałat itp.

**Budynie** — w torebkach w 9-ciu smakach: czekoladowy, waniliowy, pomarańczowy, cytrynowy, ananasowy, migdałowy, wiśniowy, morelowy i malinowy.

**Wypiek** — znany proszek do pieczenia ciast oraz **cukier waniliowy.**

W najbliższych dniach Zakłady wypuszczą na rynek nowy swój produkt. Będą nim **kostki barszczu czerwonego**, wyprodukowane z naturalnych surowców. Odpowiednie próby i doświadczenia zostały już zakończone. Barszcz czerwony „Społem" powinien się znaleźć na każdym stole już w czasie najbliższych świąt Bożego Narodzenia, jest bowiem naprawdę doskonały w smaku.

Niezależnie od tego Zakłady w Starołęce wyprodukowały susz prasowany w kostkach (100 gram) jagodowy i warzywny. Pierwszy może być używany do kompotów i zup jagodowych, a drugi jako mieszanka warzyw, stanowiących tzw. „włoszczyznę" — może zastąpić włoszczyznę suszoną, której przechowanie w zimie przysparza naszym gospodyniom tyle kłopotów.

Kategorycznie podkreślić należy, że produkcja Zakładów nie ma nic wspólnego z tzw. namiastkami czy środkami zastępczymi. Są to wszystko wyroby pełnowartościowe, wyprodukowane z naturalnych surowców o najwyższej jakości.

Zakłady zatrudniają 135 pracowników, a całkowita ich produkcja idzie na potrzeby placówek handlowych „Społem". Są całkowicie zmechanizowane i zelektryfikowane, a istniejące przy nich laboratorium doświadczalno - kontrolne, daje gwarancję, że wyroby są zdrowe. (a)

# DOTKLIWY BRAK PASZ OBJĘTOŚCIOWYCH ODCZUWA LUBELSZCZYZNA

Zaraz po wyzwoleniu Lublina spod okupacji hitlerowskiej w lipcu 1944 r. powstał przy Związku Gospodarczym Spółdzielni Rolniczo - Handlowych Dział Zbożowy, który w marcu 1945 roku włączony został do „Społem" jako Oddział Rolniczy. Z dniem 1 lipca 1945 roku działalność Oddziału rozszerzono na obszar całego województwa lubelskiego, nadając mu uprawnienia Okręgowego Oddziału Rolniczego „Społem" (Lublin, ul. Bernardyńska 18).

W sierpniu 1947 r. wyodrębniono z Okręgowego Oddziału Rolniczego dział zbożowy, tworząc z niego Okręgowy Oddział Zbożowo - Młynarski. Nowy ten Oddział przejął całkowity obrót zbożem.

Okręgowy Oddział Rolniczy w Lublinie pracuje w zasięgu województwa, utrzymując żywe kontakty handlowe z 16 oddziałami powiatowymi „Społem", 47 Spółdzielniami Rolniczo-Handlowymi i 35 Spółdzielniami Samopomocy Chłopskiej. Organizacyjnie działalność Okręgowego Oddziału Rolniczego ujęta jest w ramy dwóch działów: działu zaopatrzenia wsi i działu ziemiopłodów. Dział zaopatrzenia wsi prowadzi referaty: maszyn i narzędzi rolniczych, żelaza i wyrobów żelaznych, nawozów sztucznych, materiałów budowlanych, opakowań, środków ochrony roślin, materiałów pędnych. Referaty te rozprowadzają towary zarówno wolnorynkowe jak i—w akcji M. 50 (przemysł dla wsi). Dział ziemiopłodów prowadzi referaty: ziemniaczany, pasz treściwych i objętościowych, nasion zbożowych, oleistych i strączkowych, ziół leczniczych i użytkowych oraz— plantacji.

W 1947 roku w okresie od stycznia do października włącznie Okręgowy Oddział Rolniczy rozprowadził w terenie: materiałów pędnych i smarów — 250 wagonów, nasion oleistych — 400 ton, ziół leczniczych i użytkowych 19.330 kg., żelaza, wyrobów żelaznych, maszyn i narzędzi rolniczych 1.368 wagonów, materiałów budowlanych — 6.778 wagonów, środków ochrony roślin — 3 wagony i opakowań — 5 wagonów.

Ponadto w kampanii ziemniaczanej 1947 r. Okręgowy Oddział zakupił ponad 4.000 ton kartofli, które po cenach urzędowych dostarczył różnym instytucjom i zespołom robotniczym w Katowicach i Krakowie.

Przy Okręgowym Oddziale istnieje krajalnia ziół, która preparuje i paczkuje zioła herbatowe, rozchodzące się po całej Polsce.

Preliminowany na rok 1947 obrót, już w październiku został przekroczony o z górą 10 proc. Do końca roku 1947 owo przekroczenie preliminowanego obrotu osiągnie ok. 40 proc. Podstawą tych obrotów są t. zw. obroty szlachetne z handlu ze spółdzielniami, które wynoszą 98 proc. ogólnych obrotów.

Teren lubelski jest trudny do pracy, a to ze względu na brak połączeń kolejowych. Wiele placówek w województwie nie posiada komunikacji kolejowej, co stwarza duże trudności komunikacyjne i transportowe.

Ze względu na ostatni nieurodzaj i długotrwałą suszę Lubelszczyzna dotkliwie odczuwa brak pasz objętościowych (siano i słoma), które trzeba sprowadzać z innych obszarów Polski.

Prawdziwą bolączką Okręgowego Oddziału są świadczenia rzeczowe. Technicznie zostały one przez Okręgowy Oddział dobrze wykonane, co potwierdzają uznania władz wojewódzkich i ministerialnych.

Lokal biurowy Okręgowego Oddziału jest zbyt szczupły, magazyny — dostateczne pod względem pojemności, rozrzucone są jednak w 4 punktach miasta. Oddział odczuwa brak ludzi do pracy, zwłaszcza odpowiednio fachowo wykwalifikowanych. Kierownikiem Okręgowego Oddziału, który w tej chwili zatrudnia 185 pracowników, jest od lat 13-tu p. Karol Gordoń, który na niwie spółdzielczej pracuje bez przerwy przez lat 27. (a)



# W ODBUDOWUJĄCYM SIĘ BIAŁYMSTOKU

Powiatowa Spółdzielnia Rolniczo-Handlowa w Białymstoku, ul. Warszawska 59 istnieje od października 1944 r. Zrzesza 680 członków i zatrudnia 50 pracowników. Prowadzi działy: maszyn, narzędzi rolniczych, artykułów technicznych i budowlanych, nasion, nawozów sztucznych, materiałów pędnych, środków ochrony roślin, wymiany włókna (len i konopie) na tekstylia, artykułów gospodarstwa wiejskiego i domowego, tekstylny, ziemiopłodów, i akcji zleconych przez Państwo. Posiada młyn elektryczny o zdolności przemiałowej 5 ton zboża dziennie i 6 sklepów.

Ponadto spółdzielnia posiada własne garaże i dwa samochody ciężarowe. Obroty Spółdzielni w 1946 r. wynosiły 60 milionów złotych, a dziesięć miesięcy 1947 r. dały już 125 milionów zł. Spółdzielnia posiada plac o powierzchni około 1.5 ha, na którym wiosną 1948 r. rozpocznie budowę: magazynów, elewatora oraz budynków administracyjnych i gospodarczych. Kierownikiem Spółdzielni jest p. Józef Kunicki, a jego zastępcami są p. p. Julian Grudzień i Andrzej Czechowski. (a.)



# WIELKI KONKURS GWIAZDKOWY „TYGODNIA"

Obok podajemy dziesięć rysunków tytułów książek autorów Należy odgadnąć tytuły książek i nazwiska autorów i przesłać rozwiązania do Redakcji „Tygodnia" w terminie do dnia 15 stycznia 1948 r. (brana będzie pod uwagę data stempla pocztowego) z zaznaczeniem na kopercie: „Książkowy Konkurs Gwiazdkowy". Pomiędzy uczestników konkursu rozlosowanych zostanie:

**15 NAGRÓD KSIĄŻKOWYCH Z AUTOGRAFAMI AUTORÓW**

ORAZ

**15 PRENUMERAT KWARTALNYCH „TYGODNIA"**

# SZALBOZA

W ubiegłym tygodniu nagrodę zł 300— ctrzymał p. Władysław Propinator ze Zdziechowic za list poniższy:

**PEREŁKI W „TYGODNIU"**

**Szanowny obywatelu redaktorze, jako pracownik spółdzielni jestem stałym czytelnikiem „Tygodnia", więc chciałbym, aby nasze pismo było bez zarzutu lepsze od innych. I właśnie dlatego, gdy inni wyławiają perełki z obcych pism, ja będę ich szukał w Naszym „Tygodniu". I tak w Nr 47/71 z dnia 23.11.1947 w artykule „19 przykazań mody" czytamy: „Nie należy traktować fryzury jako jedynie masy włosów, otrzymanych od matki natury!!!" Panie Redaktorze, nie wystarczy komuś nadepnąć na odcisk, a później powiedzieć przepraszam za gafę jak to czyni „Tydzień". O ile chcemy krytykować, unikajmy sami błędów, żeby nam nie mieli co zarzucać. Pozostaję ze spółdzielczym pozdrowieniem Władysław Propinator.**

List ten nacechowany prawdziwą troską obywatelską, pełen życzliwej powagi i gorącego pragnienia podciągnięcia wzwyż Naszego Pisma, oprawiliśmy w ramki i zawiesiliśmy nad stołem Naszej korektorki.

**LI-CHUNG-CZANG**

**Policja chińska aresztowała na lotnisku w Kopenhadze Niemca, który usiłował zbiec do Buenos Aires.**

(Express Wieczorny Nr 328, nadesłał Marian Ryta z Ostrowi Wielkopolskiej).

Było to tak. Kiedy się Dania dowiedziała, że Niemiec chce uciekać z Kopenhagi do Buenos Aires, była tym bardzo zaniepokojona i nie wiedziała co tu zrobić. Na szczęście przechodził tamtędy, wędrujący po całym świecie przekupień chiński Li-Chung-Czang. „Czego się martwicie? — zapytał z właściwym ludziom Wschodu filozoficznym spokojem: — zatrzymajcie tylko na godzinę samolot, którym Niemiec chce odlecieć, a wszystko będzie dobrze". I zatelefonował natychmiast do Pekinu, skąd przyleciała ekipa policji chińskiej i aresztowała Niemca. Wdzięczna Kopenhaga zamierza wystawić pomnik Li-Chung-Czangowi, na wzór brukselskiego Manneken - Pissa, który również wyratował niegdyś miasto z ciężkiej opresji.

**NIE STANIE SKÓRKA ZA WYPRAWKĘ**

**Liga Kobiet wysyła do 20-tu wrocławskich zakładów pracy referat, opracowany przez dra Białowąsa o zgubnych skutkach walki z alkoholizmem.** („Słowo Polskie", Nr 33/388, nadesłał p. T. Mostkowski z Wrocławia).

O podobnych skutkach opowiadał kiedyś w swej książce „Karczma czy kultura" p. Szczepański, znany w Polsce bojownik wstrzemięźliwości i inicjator „Tygodni antyalkoholowych". Siedział raz w karczmie jakiś pijak, zupełnie już na rzęsach. Wszedł apostoł abstynencji, zaczął mu tłumaczyć, przekonywać go — słowem, walczyć z alkoholizmem. Pijak się odwrócił i dał mu w mordę. Skutki były zgubne: szczęka wyskoczyła z zawiasów. Cieszymy się, że dr Białowąs walczy nie osobiście, a tylko opracowuje referaty.



## KĄCIK FILATELISTYCZNY

Na stronie drugiej reprodukujemy trzy nowe znaczki radzieckie wydane z okazji 800-lecia założenia Moskwy o wartości 1, 2 i 3 ruble. W następnym kąciku podamy dokładniejsze dane odnośnie nowych znaczków radzieckich. Warto zaznaczyć, że w produkcji znaczków pocztowych Rosja Sowiecka zajmuje pierwsze miejsce w świecie.

# KONKURS GWIAZDKOWY
## NA ROZRYWKI UMYSŁOWE

### REBUS



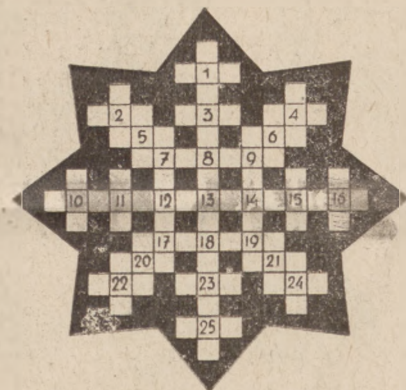

W numerze dzisiejszym kończymy „Konkurs Gwiazdkowy na rozrywki umysłowe". Za prawidłowe rozwiązanie każdego zadania przyznane będą trzy punkty. Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. W razie równej ilości punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi należy przesłać do Redakcji „Tygodnia" do dnia 5 stycznia 1948 r. Na nagrody Redakcja przeznacza 15 nagród książkowych. Za najlepsze trzy zadania autorskie wytypowane przez uczestników konkursu przyznane będą specjalne wartościowe nagrody książkowe.

Aby nie psuć numerów kompletującym nasz tygodnik, nie zamieszczamy tym razem kuponu, lecz prosimy przy rozwiązaniu wytypować trzy najlepsze zadania. Prosimy o nadsyłanie projektów zadań do nowego „Konkursu Karnawałowego".

## WIROWKA GWIAZDZISTA

W figurę wpisać wirowo 35 wyrazów 5-literowych. Początek każdego wyrazu w oznaczonym kółku, kierunek wpisu do odgarnięcia. Litery w oznaczonych kółkach czytane kolejno dadzą aktualne rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1. Kawał stepu ogrodzony palisadą. 2. Litera grecka. 3. Bryła podługowata o różnym spłaszczeniu, jaką tworzą różne minerały. 4. Szeroka, piękna ulica. 5. Duchowny turecki. 6. Pismo okrągłe francuskie. 7. Metaloid czerwony, rzadki w przyrodzie. 8. Margrabia za Mieszka I. 9. Rodzaj ondulacji. 10. Imię żeńskie. 11. Stolica europejska. 12. Nie obca. 13. Państwo w Europie. 14. Kasza z makiem na Wschodzie. 15. Nakrycie stołu. 16. Przynęta. 17. Miasto we Flandrii znane z wojny światowej. 18. Miasto na Florydzie. 19. Nocny spoczynek u Turków. 20. Język martwy w gwarze studenckiej. 21. Mitolog; pieczara, przedpiekle. 22. Stolica Senegalu. 23. Regularny żołnierz turecki. 24. Wspólnik znanej firmy ołówków. 25. Archipelag atlantycki.



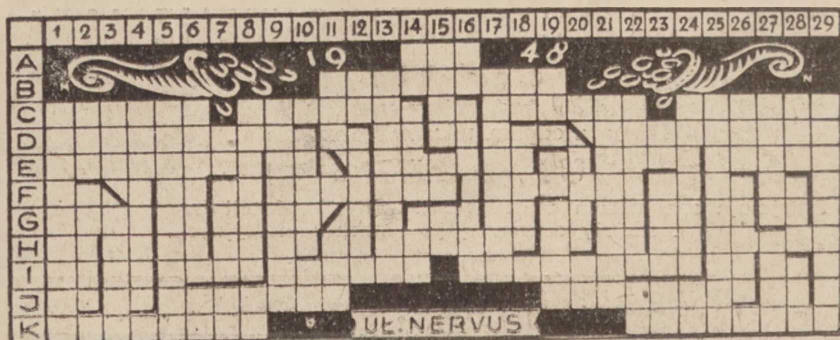
*uł. Krauzowicz*

## KRZYŻÓWKA

**Znaczenie wyrazów**

**Poziomych:** A. 14. Imię męskie. B.M. Ubiór gumowy, nieprzemakalny. C.I. Obłędy, manowce. C.8. Gwiazda. C.17. Wystawa towarów na pokaz. C.24. Szczep Indian amer. D.1. Zw. chem., ciało cukrowe. D.21. Przysmak, smakołyk. E.1. Rodz. staroż. machiny wojennej. E.25 Sztuka sceniczna, ilustr. muzyką i śpiewem. F.13. Utwór liryczny. H.13. Indyk samiec. H.28. Symbol chemiczny rtęci. I.9. Duży szczep Indian amer. I.16. Zwierzątko afryk. nocne. J.5. Róg myśliwski. J.19. Deszczochron. K.1. Logika Epikura. K.22. Okrąg admin. kraju (dawniej).

**Pionowych:** 1.C. Badacz nauk o wielkościach i liczbach, prof rachunkowości. 2.C. Papuga. 3.C. Wąwóz, parów. 3.S. Imię męskie. 4.C. Miasto w staroż. Focydzie. 5.C. Część aparatu kinematograficznego. 6.C. Symbol chem. indu. 6.J. Symbol chem. litu. 7.F. Napój, arak. 7.J. Lewy dopływ Kamy. 8.C. Dawny symbol chemiczny azotu. 8.J. Nuta. 9.C. Cukier czysty. 10.S. Nazwa dwu miast egip. 11.B. Liczba, cyfra. 11.H. Czynność, obrzęd. 12.B. Przyimek. 13.B. Minerał z rz. węglanów. 14.A. Wysepka w zatoce Marsylskiej. 14.H.. Symbol chem. sodu. 15.A. Amant, kochanek. 16.A. Zaimek. 16.H. Postać bibl. król. 17.B. Postać mitol. żona Herkulesa. 18.B. Wykrzyknik. 19.B. Postać mitol. eg. bóg słońca. 19.G. Wystający brzeg dachu. 20.S. Symbol chemicz. galu. 21.C. Wielbiciel, czciciel. 22.C. Spójnik. 22.J. Symbol chem. srebra. 23.F. Kościół katedralny.23.J. Moneta franc. (fon). 24.C. Mila. 24.J. Rzeka w Syberii. 25.C. Obrońcy czci obrazów świętych. 26.C. Urzędowe Biuro Prasowe (skrót). 27.C. Stolica Grecji. 27.J Ryba karpiowata. 28.C. Rzeka w Polsce. 29.C. Wstęp wiadomości przygotowawcze do nauki, obszerniejszej.




# NOWY KONKURS „TYGODNIA"

W rozwiązaniu zagadki Nr 19 wzięło udział 466 osób, z tego około stu nadesłało błędne rozwiązania, przy czem byli tacy czytelnicy, którzy dopatrywali się w rysunku pewnej złośliwości z naszej strony, przypuszczając, że para maszerująca pod rękę, to księżniczka Elżbieta i jej małżonek, pan wygrażający laską, to ob. Król z Bydgoszczy (delegat na Zjazd „Społem"), który domagał się likwidacji „Tygodnia". Wyjaśniamy więc, że rysunek ilustrował przysłowie:

„GDZIE DWÓCH SIĘ BIJE, TAM TRZECI KORZYSTA"

i nie miał w sobie nic złośliwego. Inne odpowiedzi na pytania i życzenia podajemy w dziale: odpowiedzi Redakcji.

W drodze losowania otrzymali:

**NAGRODY KSIĄŻKOWE**

**Zofia Buba — Ostrowiec Świętokrzyski, Górzysta 12.**

**Jerzy Łukaszewicz — Olecko, ul. Gołdapska 2.**

**Marian Kądziołka — Nowy Sącz, ul. Kilińskiego 73.**

**Józefa Nowakówna — Wieprz, pow. Wadowice, Kier. Agencji Pocztowej.**

**Henryka Szymańska — Spółdzielnia „Wyzwolenie" w Piotrkowie Trybunalskim.**

**Józef Wronka — Szczecin, Potulicka — garaże PKP.**

**Izabella Kostańska — Wrzeszcz, ul. Grunwaldzka 135, „Społem".**

**Roman Górkiewicz — Warszawa, ul. Radzymińska 107-53.**

**Krystyna Karlowska — Sandomierz, ul. Mickiewicza 30.**

**Krystyna Gibasowa — Żary koło Żagania. Spółdz. Spoż. „Jedność" (Dolny Śląsk).**

**PRENUMERATĘ KWARTALNĄ „TYGODNIA"**

**Maria Fischbachowa — Września, ul. Sienkiewicza 20.**

**Arkadiusz Jackiewicz — w. Grzybowa, poczta Wesoła, koło Warszawy, ul. Leśna 8.**

**Jan Panowicz — Wrocław, ul. Stalina 39 (Warsztaty elektrotechniczne).**

**Bohdan Sobieszczański — Żyrardów, ul. Daszyńskiego 7 — 4.**

**Wiktoria Chmielewska — Mława, ul. Graniczna 23.**

**Helena Howaniec — Piwniczna, ul. Szczawnicka 891, pow. Nowy Sącz.**

**Bogumiła Korolewicz — Cieplice Zdrój, Szymanowskiego 1, pow. Jelenia Góra.**

**Zbigniew Markiewicz — Poznań, ul. Łąkowa 17 — 8.**

**Maria Bogdan — Środa Śl., koło Wrocławia, Skrz. poczt. 10.**

Ciąg dalszy w nast. numerze.

Wszystkie nagrody zostaną wysłane pocztą jeszcze przed świętami. Kto nie otrzymał przyznanej nagrody winien reklamować.



Powyżej podajemy zagadkę Nr 22, za którą Redakcja przeznacza:

**5 NAGRÓD KSIĄŻKOWYCH**
**oraz**
**10 NAGRÓD — PRENUMERATA KWARTALNA „TYGODNIA"**

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 11 stycznia 1948 r.

Za nadesłane życzenia serdecznie dziękujemy i życzymy wszystkim uczestnikom Konkursu, Wesołych Świąt, zachęcając do brania udziału w dalszych Konkursach oraz do nadsyłania nowych pomysłów.



*Dama kameliowa 1848 r.*

Jadwiga Żylińska

# 100 LAT MODY
## 1848—1947\8

W połowie XIX wieku nastąpiły dwa ważne ewenementy w dziedzinie mody:

W r. 1856 chemik angielski Perkin odkrył sposób produkowania farb anilinowych z węgla. Pierwsze farbowane materiały były bardzo brzydkie i one to popsuły reputację Angielek, które odtąd zaczęły uchodzić za kokiety ubierające się ekscentrycznie i bez gustu.

Drugim wydarzeniem było wprowadzenie krynoliny w r. 1854. Ale już około r. 1837 damy zaczęły nakładać marszczone, szumiące spody pod suknię, co zwiastowało nieomylnie zmianę w dotychczasowej linii. Jakoż „nowa linia" o kształcie piramidy, szeroka u dołu i cieniutka w pasie, stała się niebawem powszechna i trwała bez większych zmian aż do r. 1866. Moda ta — z czasów Wojny Cywilnej w Ameryce i Powstania Styczniowego w Polsce — była bardzo niewygodna: gdy Scarlett O'Hara w „Przeminęło z wiatrem" wybierała się na bal, piastunka zesznurowała ją tak mocno w pasie, że nie mogła wcale jeść na przyjęciu, co zresztą należało do dobrego tonu u młodej panny; miała jednak ta moda i swoje dobre strony, gdyż pod fałdami krynoliny można było przewieźć bieliznę dla całego oddziału powstańców, a także nieco korespondencji, amunicji oraz podręczną apteczkę. Kobieta w krynolinie stała — że się tak wyrażę — na solidnej podstawie. Jej rola w społeczeństwie była nie najlepsza, ale w każdym razie pewna i ustabilizowana. Było rzeczą wiadomą co jej wypada, na co sobie może pozwolić i co wzamian za to jej się należy.

W r. 1870 wybuchła wojna prusko-francuska, a potem — jak to zwykle bywa po wojnie — nagły zwrot w stronę ekstrawagancji, lekkomyślności i swobody. W r. 1873 Paryż zaprezentował nowe modele, które starsze panie uznały za nieprzyzwoite. Nowa linia kazała kobiecie nosić suknie z przodu obcisłe, akcentujące piersi, brzuch, biodra, a nawet kolana, z tyłu z tiurniurą i trenem, co zresztą nie mogło zrównoważyć tej lekkomyślnej w zasadzie kreacji. Była to moda wyrafinowana i wykwintna, wyjątkowo odpowiednia, jako oprawa dla heroin romansów — femmes incomprises i femmes fatales. Nic też dziwnego, że tę epokę szczególnie upodobali sobie reżyserzy filmowi, czego dowodem jest już po raz trzeci filmowana „Anna Karenina", tym razem z Vivian Leigh (która kreowała rolę Scarlett w „Przeminęło z wiatrem") w głównej roli.



*Anna Karenina 1875 r.* *Marynia Połaniecka 1896 r.* *Rok 1912.*

Dotychczas tylko młode panny nosiły na głowie kapelusze. Natomiast kobieta zamężna przywdziewała czepek, który był symbolem godności stanu małżeńskiego, a także gwarancją szacunku u ludzi. Aż raptem w latach osiemdziesiątych kobiety doszły do przekonania, że moda ta jest zbyt uciążliwa i zobowiązująca. Podczas ostatniej dekady XIX wieku ustalił się nowy typ ubierania, jednakowy dla panien i mężatek, podobny dla matek i córek.

Moda z lat dziewięćdziesiątych nakazuje nosić suknie szerokie, **o bu**fiastych rękawach, wysokich kołnierzykach i z niezliczoną ilością ozdób. Kokardy, bufki, dżety, sutasze, hafty, gipiury, wstawki, szlarki, koronki, taśmy, riuszki, frendzelki — wszystko to składa się na wyjątkowo niegustowną całość toalety.

Nowym szczegółem w modnym ubraniu staje się woalka. Drobiazg ten stał się niezbędny dla ochrony twarzy przed kurzem, podczas jazdy automobilem, pędzącym z zawrotną szybkością 30 kilometrów na godzinę.

Pewną reakcją przeciwko wymyślności ubrania z lat dziewięćdziesiątych jest moda z początku XX wieku, lansująca suknie wąskie, spętane poniżej kolan i kapelusze ogromne, w kształcie elipsy, tak że tylko bokiem można było w nich wsiadać do pociągu lub tramwaju.

Pierwsza wojna światowa ubrała kobietę w uniform i zmusiła ją do prowadzenia męskiego trybu życia. Dotychczasowa moda czyniła z kobiety manekina, który aparycją swoją zaprzeczał istotnej, zgodnej z anatomią budowie ciała. Teraz nowe zajęcia wymagały od kobiety swobody ruchów i wygody w ubraniu. A że każda wojna wyzwala w człowieku dążenia rewolucyjne, więc w dziedzinie mody znalazło to swój wyraz w odrzuceniu krępujących ciało gorsetów i ujawnieniu takich części ciała, jak np. nogi, których istnienie kobieta przedwojenna wstydliwie zatajała. Powojenna kobieta nosi włosy krótko obcięte, suknię bez zapięcia, luźną jak koszulka i sięgającą do kolan, z linią stanu — nie wiadomo czemu — poniżej bioder. Moda tą unifikowała nie tylko kobiety różnego wieku, lecz także różnych klas społecznych. Przyczyną tego drugiego zjawiska było z jednej strony podniesienie standartu życiowego proletariatu, z drugiej udoskonalenie fabrykantów, m. in. produkcja na wielką skalę sztucznego jedwabiu, co w praktyce pozwoliło służącej ubierać się tak jak jej pani. Moda po pierwszej wojnie światowej wykazywała tendencje, równające warstwy upośledzone z uprzywilejowanymi. Stąd dążenie kobiet w upodobnieniu się do mężczyzny, wykładnikiem czego stał się typ „La Garçonne" pochodzący z popularnej powieści Margueritte'a. (1922 r.).



*Scarlett 1863 r.*

Ale w ciągu dwudziestu pięciu lat, które dzieliło wybuch pierwszej wojny światowej od drugiej, kobiety zdążyły się oswoić z równouprawnieniem i potrosze zatraciły świadomość, dlaczego pokazywały kolana, symulowały bary atlety i nosiły płaskie obcasy. I oto mamy po drugiej wojnie światowej interesujące w dziedzinie mody zjawisko — całkowitego odwrotu od imitacji mężczyzny. Nowy styl ubrania podkreśla — nieraz przesadnie — linie ciała charakterystycznie kobiece, a ponadto wprowadza pewną, minimalną zresztą, różnicę między strojem kobiety dorosłej i podlotka. Więc znowu pióra i woalki, futra i szerokie spódnice, zakryte kolana i długie włosy, pantofle na wysokim obcasie, a nawet gorsety. Wydaje mi się jednak, że ten ostatni rekwizyt zarówno ze względu na uprawianie sportu, jak też na całą technikę i tempo współczesnego życia, nie da się — mimo chytrych manipulacji krawców paryskich — w zbiedniałej Europie upowszechnić.



*La Garçonne 1922 r.*



*Model firmy Balmain 1947/8 r.*





B-43109

# MODA 1948

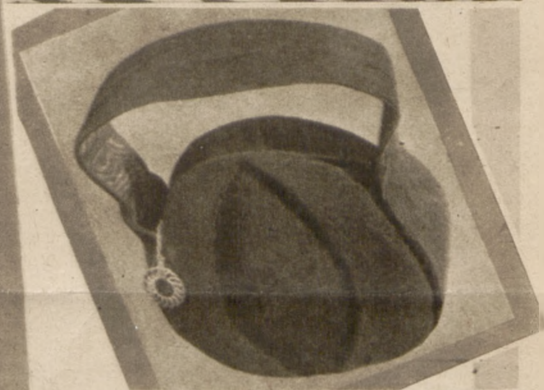
Piękne główki na lewo — to wzory fryzur na karnawał tegoroczny — dzieło natchnionego grzebienia słynnego Mr Raymonda z Londynu (Harper's Bazaar).

Poniżej: — najnowsze modele garniturów męskich — ciemna wizytowa dwurzędówka i zwykły deseniowy garnitur „na codzień" („Adam").

Przy choince: śliczna amerykańska gwiazdeczka filmowa Susan Shaw w czarującej toalecie wieczorowej (Fot. „Mopexas").

Po prawej — u dołu: bardzo efektowna i praktyczna sukienka wełniana — typowy przykład logicznej mody angielskiej, która nie podporządkowała się imperatywom „rewolucyjnej" hecy paryskiej. Przypuszczamy, że model ten znajdzie i u nas dużo zwolenniczek (Harper's Bazaar).











# NUMER GWIAZDKOWY




TYDZIEŃ

WYDAWCA: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień". Redaguje: Zespół redakcyjny. Adres Redakcji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8. Redaktor przyjmuje w czwartki, piątki i soboty od 11—13. TELEFONY: Redakcji — 86-164, Administracji — 88-715. Redakcja rękopisów nie zwraca. Prenumerata miesięczna 75 zł, półroczna 450 zł. roczna 900 zł. Konto PKO Warszawa Nr I.-4766. Konto czekowe w Banku Gospodarstwa Spółdzielczego, Oddz. Wojewódzki Warszawa Nr 107. Ogłoszenia za 1 mm wysokości na szerokość 1 szpalty — 120 zł. W kolorze — 50 proc. drożej. RSW „PRASA", Z. G. W-wa, Smolna 12, druk okładki wykonały Zakłady Wklęsłodruk RSW „PRASA", W-wa